

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom czterdziesty szósty.

M. K. 1884



# ZŁOTE JABŁKO

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

---

Tom I.

---

LWÓW.

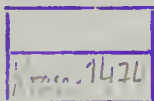
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1 10.

1873.

---

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



---

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.



Autor powieści tej — przyznać się musi, dla objaśnienia jej, że nie zawsze siedział za stolikiem otoczony papierem i książkami. Od r. 1837 do 1856 był wiejskim gospodarzem, dzierżawił, kupował i sprzedawał ziemię, jeździł regularnie na Dubieńskie kontrakty, zajmował się swojemi a często i cudzemi interesami. Przypatrzył się więc z bliska temu frymarkowi posiadłościami, jaki się corocznie odbywał i z żywego życia powieść swą wyczerpnął. Jest ona owocem studjów i doświadczenia. Współcześni, którzy sobie przypomną Wołyń przed r. 1852, poznają w Złotem Jabłku część przynajmniej znanych im, lubo nieco może odmienionych i uzupełnionych postaci. Śmiesznem być może gdy się autor przyzna do tego, że powieść własną po latach przeszło dwudziestu przeczytał z przyjemnością. Przyniosła mu ona woń lat ubiegłych, — postawiła przed nim cienie znikłych niepowrotnie postaci. Bardzo prosta w pomyśle i wykonaniu, jest ona obrazkiem w którym więcej prawdy niż sztuki, i może dlatego, że się nie starano o wielce kunsztowną jej budowę, że wzorowano z natury, zająć potrafi czytającego. Nic nieprzesadzając możemy ją dziś nazwać powieścią historyczną,

choć w chwili gdy się ukazała była tylko skromnym obyczajowym obrazkiem. Lecz jakże dziś zmieniły się stosunki, ludzie, fizjognomie, kraj sam i jego charakter!!

Złote Jabłko pisane w r. 1852 nie może się pochłubić ani powtórne wydaniem, ani tłumaczeniem, mimo to autor ma je za wierny obraz kraju i czasu i zdaje mu się, że do najgorszych jego robót nie należy.

Pisane przed laty dwudziestą najmniej jednak usta-  
rzało, zachowało się jakoś dosyć świeżo, co winno pro-  
stocie założenia. Nie potrzebujemy się bronić przeciw  
zarzutowi portretowania, nigdyśmy się nie dopuścili tego  
występku przeciw przyzwoitości i sztuce, lecz nie zapie-  
ramy się studjów z natury, bez których żaden malarz  
się nie obchodzi. — Nie znaliśmy żadnego hrabiego Su-  
linowskiego, ale wizerunek jego wielu jemu podobnych  
przypomina. Tak samo i jego towarzysze. Okolica  
w której się odegrywa nasz dramat wiejski, była długi  
czas pobytem i najczęstszych wycieczek naszych celem.

Drezno 1873. Lipiec.

**J. I. Kraszewski.**

## ROZDZIAŁ I.

---

**W którym występuje bohater. i nieco o jego pochodzeniu.**

Kupa to lat temu, żył sobie w Warszawie właściciel dwóch pięknych domów na Bielańskiej ulicy i dwóch korzennych sklepów, a oprócz tego bogaty hurtowny kupiec, pan Erazm Bal. Wątpię, żeby go kto dziś pamiętał, bo ludzie przez miasto przepływają jak fale, nie zostawując po sobie śladu, a dla nowych trudno starych nie przepomnieć; nie wiem nawet czy ślad jaki tej rodziny pozostał w archiwach miasta Warszawy. Ale niemniej pewna i najprawdziwsza, że dwie połączone kamienice Balów, z których jedna długo miała na czele ogromne z kamienia wyciosane grono winne, przy nowszych dopiero restauracjach zbite dla osadzenia żelaznego balkonu, egzystowały na ulicy Bielańskiej. Mogą mi historjografowie pilni miasta Warszawy zaprzeczać, ja niemniej swego się będę trzymał.

Kamienice te istniały od bardzo dawna, zda się od XVII wieku, w imieniu i posiadaniu Balów, których

ostatnim potomkiem był pan Erazm. Ale najprzód opiszemy pana Bala.

Był to człowiek lat średnich, niewielkiego wzrostu, okrągławy i pękaty, uśmiechnięty często, wesół prawie zawsze, znany z najpocziwszego serca i niesłychanej żywości. której nawet wzrastająca tusza nie powściągnęła. W mieście taka postać jak jego, niepospolicie oryginalna wyrazem twarzy i ruchami, a niekiedy i strojem, tak uderzała wszystkich, że nie było ulicznika coby nie znał pana Erazma i czapki przed nim nie zdejmował, lub figlów mu nie płatał.

Znano go nawet aż na Pradze. Są bowiem mniej oryginalni ludzie. których dziwaczna trochę fizys nie tak uderza za pierwszym wejrzeniem, i ci ledwie na swoich ulicach lub w bliższej tylko okolicy są znani. Drudzy aż na trzecią i czwartą bywają popularni, a pan Erazm całe miasto zachwycal swą naiwną, pocziwą, zawsze zakłopotaną, wesołą i pośpiech malującą twarzą. Najmniej znacząca drobnostka niesłychanie go obchodziła, ogniem palił na rzecz najobojętniejszą; gdy rozprawiał, to krzyczał; gdy się witał, śmiał się o trzy kroki, a mając interes, zdawał się co chwila zabierać do bitwy. Wszystkiemu podobno winien był, jeśli się nie myłę. temperament krwisto-nerwowy, czy nerwowo-krwisty, do którego pan Erazm Bal miał szczęście lub nieszczęście należeć.

Na krągłutkim korpusiku, podtrzymywanym przez dwie nóżki kształtne, ale nieco krótkie; na karku niezbyt podniosłym i fałdzistym, osadzona była głowa w kształcie makówki, gdyż siwiejący czubek na niej wystawiał dobrze koronę tego zajmującego owocu. Włosy na niej w wielkim zawsze rozpierzchały się nieładzie, ale

że były krótko strzyżone, jakoś to nie razilo. Czoło miał wypukłe, gładkie i niezbyt rozrosłe; pod niem oczki małe, biegające, czarne, żywe, gorące, z brwiami nastrzępionemi jak czupryna i trochę nadto bujnie się rozrastającemi. W tych oczkach bez głębokiego wyrazu, nawet nie malujących wiele wrodzonego dowcipu, hulał nienastanny fajerwerk. Latały one w prawo, w lewo, po za siebie, w górę i w dół, nie mogąc się długo na żadnym zatrzymać przedmiocie. Brwi co je ścisnęły, zineczyły się trzymając i gęstą już siateczką wyteżenia dawały dowody.

Natura kiedy co tworzy, zawsze ma jak artysta, harmonją doskonałą swojego dzieła na najpierwszym względzie. Aksjomat ten sprawdzał się wybornie rozborem rysów pana Erazma; wszystko u niego zarywało na okrągłe, zataczało się, zakrzywiałoby i wypełniało kulisto. Nos nawet dyskretnie wyskoczywszy na twarz, zmienił się przez posłuszeństwo naturze mistrzyni w rodzaj różowanej pigulki. Usta także, zwłaszcza otwierając się, przybierały formę najdoskonalszą sferyczną. Nie potrzebnę już mówić o policzkach, którym łatwo przyszło do prawa wydanego na pana Bala się zastosować, nczuwały to nawet z widoczną ochotą i trochę przesady — pochlebcy!! Byli zuchwali co pana Bala śmieli nazywać pigułką najprzód, potem pigułą. a inni dodawali — *pocziwą*.

Trzeba go było widzieć jak się bywało toczy przez ulicę. Ani piłka-ręką swawolnego studenta rzucona, nie leci zwawiej i nie podskakuje ochotniej. Nie brakło bowiem i poskoków, które gdy go co niecierpliwilo, choć już siwiał i szpakowaciał, wyprawiał bodaj na rynek, bodaj przy procesji. Gorączkaż to był, gorączka! Nie go

nie kosztowało wpaść w najokropniejszą furję za kawalek sznurka, i z owego ognistego zapału przejść bez mozolnych półcieni wprost do najjowialniejszego śmiechu.

Choć skłonny był bardzo do gniewu, nikt się go jednak nie obawiał; wiadano, że to ogień co w chwili nie wypali i długo zarzyć nie może. Pan Erazm urodził się jeszcze w początku panowania Stanisława Augusta, coś około 1770 roku; w czasie, kiedy się nasza powieść zaczyna, miał lat pięćdziesiąt i kilka, ale nie wyglądał jak na czterdzieści. Nie dziw, żółć się w nim wypalała ciągle, złe humory wychodziły na wierzch w wybuchach gniewu. a na dnie czyste zostawało zdrowie. Rodzice pana Erazma, ludzie prości, starego auctoramentu, poczciwi knęcy, zebrali byli sobie, a raczej powiększyli mająteczek mając stosunki bliskie i komitywę wielką z panem Ryksem starostą Piaseczyńskim, który często hurtowne u nich czynił zamówienia i wielu panom ich polecał. Mogli byli nie najlepiej wyjść na tem. bo się trafiało często, a nawet w modzie było brać na kredyt dużo, a potem rachunki nie rychło i nie łatwo się placily. Jednakże choć Bal stary (a był to sobie kapotowy mieszczanin, ale wielkiej powagi człowiek), stracił dosyć, w ogólnej jednak rachnie majątku mu przyrosło, handel się rozszerzył i pod koniec życia co się zowie miał się dobrze. Nie puścił sobie jednak cugli bynajmniej, ani zdumiał, ani zapragnął używać, ani ze swego stanu chciał się wybić, owszem w starej kapocie chadzał i z jedną żółtą laską do śmierci przedreptał po bruku. Pana Erazma wychowano po staremu w domu i około domu, ucząc co było można, ale uprawiając ciągle do przyszłego

stann. Była nawet chwila, że poprostu terminował w sklepie i niejaki Murzyński, zaufany pana Bala, rachmistrz i komisant, stary kawaler, w ryżej peruce. butach ze sztylpami i tabaczkowym fraku ze stalowymi guzami chodzący, dobrze nim pomiatał, żeby gorączki go odnaczyć, a do kupieckiej zimnej krwi wdroić. Nie na wiele jednak praca pocziwego Murzyńskiego się zdala; pan Erazm pozostał ze swoją gorączką. Kiwał głową Murzyński na to, poprawując perukę (miał bowiem nieustanną aprehensję że mu pożyczany włos zleci i ciągle go pilnował, to z tyłu na przód, to z przodu na tył zsuwając), a niekiedy mruczał. — Co z handlem się stanie, jak stary Bal, uchwaj Boże, nogi zadrze, nie wiem! Nie wiem! Ten bąk (był to dany przezeń panu Erazmowi przydomek) nie da rady domowi naszemu. W pocie czoła ledwie nas dwóch sensatów wystarcza, a ten świszczypalka! gdzie mu podolać, gdzie!

I wzdychał Murzyński, pilnie chwytając perukę ilekroć żywszy ruch zrobił, a niekiedy aż ła mu pociekle. Przewidywał on wiele, ale nie przewidywał co się stać może.

Umarł wreszcie pan Balcer Bal ojciec, i handel spadł z Murzyńskim razem na pana Erazma. Młody człowiek, jednak potrafił sobie dać rady. bo wszystko zdal zaraz na Murzyńskiego, stał się nawet nieco uważniejszym i uzyskał jego aprobację w rok niespełna po śmierci ojca.

— Omyliłem się grubo podobno na panu Erazmie, mówił stary komisant — to się uformuje. Bąk taki jest, ale już nie tak furga! i sens ma! i serce jest! ażeby mu jeszcze odjąć ten fajerwerk, nie chciałbym innego pryncypała.

Że na łożu śmierci, trochę o los swego domu się obawiając, stary pan Balcer zaklął Murzyńskiego, żeby handlu nie odstępował, a prócz tego przywyklemu do kąta, nie łatwo było się ruszyć z ulicy Bielańskiej — pozostał w początku do czasu, potem już obiecując sobie pracować póki sił.

Pracował też dość jeszcze długo i kierował sklepem stary Murzyński, choć postać jego wyglądała jak fant jakiś zamorski dla osobliwości sprowadzony. Codzień zdawał się śmieszniejszy — zachował bowiem strój swój przedwieczny, ów frak tabaczkowy, trykotonowe zielonkowe spodnie, buty ze sztylpami, a peruka wyryzała mu zupełnie i wylysiała nawet miejscami. Że pod koniec nie dobrze widział, a wzrok na regestrach wysilał, do jednej pary okularów dodał następnie drugą i już miał trzecią nałożyć. gdy jednego dnia mgłą mu zasłży oczy i zasnął na wieki, mruczając:

— Ciekawym bardzo, jak sobie teraz dadzą rady!

Rady jednak sobie dali, i pan Erazm, któremu nie brakło doświadczenia, wiódł dalej handel bardzo szczęśliwie.

Kiedy się kim niebo opiekuje, to mu zsyla aniołów stróżów ciągle, jednego po drugim. Tak było i tutaj. Ledwie Murzyński oczy zamknął, znalazło się go komu zastąpić.

Pan Erazm długo wesole, kawalerskie wiódł życie, ale po śmierci matki, która przeżyła ojca i Murzyńskiego, a na łożu śmierci zaklęła go, żeby się co najprędzej ożenił, obawiając się dla niego skutków dłuższego bezżeństwa — przemyslał wreszcie o przyjacielu dozgonnym.

Dziwnym trafem obok kamienicy panów Balów, przez



ścianę tylko był dom pani Hornfeld wdowy. Z Hornfeldami, jak to w najbliższem bywa sąsiedztwie, nie najlepiej się żyło za starego pana Balcera. Była najprzód kwestja o jakiś murék rozgraniczający dziedziniec, potem o wybite na podwórzu okno, które wedle prawa zamrować musiano, bo patrzalo w cudzy grunt, potem często o koszt śmieci nawet. Słowem nienawidzono się dosyć.

Hornfeldowie mówili o Balach, że oszukują. Bałowie o nich, że bankrutują, i tak to się sobie ciągnęło. Tymczasem u pani Hornfeld wdowy chowała się córka Ludwika, jedynaczka i kamienicy dziedziczka, umarł brat jej w młodym wieku; wcześniej zaczęto głosić, że piękny weźmie pannę posażek po matce. Nawet Murzyński, już w drugiej parze okularów chodzący, pomrukiwał:

— Gdyby ta sekutnica, stara Hornfeldowa bryknęła (miał zawsze tak malownicze wyrażenia), nieźleby było Erazmkowi się z tą Ludwisią ożenić, kamienica z kamienicą obok, jeszcze ta baba musiała coś grosza zachować, bo żyje otrębami a dochód ma piękny!

Ale panu Erazmowi ani się śniło żenić. Wyrosła na śliczną panienkę Ludwisia, a że istotnie matka jej była herod baba, doskonale córkę wyuczyła łagodości. Nie ma to jak wielki ucisk w młodości, by wyrobił w człowieku charakter powolny. Nie zawsze się to wprawdzie w człowieku udaje, ale najczęściej przykład rodziców jest skuteczny i odrazi od gwałtowności. O ile stara Hornfeldowa była zła, wyszczekana, pani w domu i sobieradzka (bo i z lokatorami rady sobie dawała, niektórych miotłą wyganiając, i na ratuszu obawiano się jej gęby), o tyle Ludwisia gołębią miała łagodność.

Piękne to było, skromne i potulne dziewczę, ale też

w rezie trzymane. Bez siebie matka jej nawet do kościoła krokiem stąpić nie dała, w domu niekiedy i od okna odpędziła, pracy nie żałując, kochała po swojemu dziecko, ale go nie szczędziła.

Po śmierci starego Bala, z którym byli na noże, tak że często wyszedłszy przed dom ujadali się, do czego i Murzyński pomagał, wyskakując ze sklepu z ręką na peruce, dwie pozostałe wdowy zbliżyły się. Matka Erazma była poczciwą, cichą kobieciną, oddaną nabożeństwu niezmiernie, wpisana do trzech bractw, ale mimo swój milczący pozór z taktem i rozumną, zrobiła pierwszy krok ku Hornfeldom, nie zraziła się oziębłością, w jakiejś tam sprawie malej wagi ustąpiła, i tak powoli ukołysała sąsiadkę, nie bez widoków podobno.

Poczęto u siebie bywać wzajemnie, i choć kwasy trwały jeszcze od spodu się wydobywając, powierzchownie była zgoda. Wielki miłośnik płci pięknej, pan Erazm, który w owe czasy był zręcznym, rumianym i nie brzydkim chłopcem, najrzał pannę Ludwikę raz, drugi, trzeci, wreszcie począł sobie mówić, że ładna! i bywać u Hornfeldowej.

Stara w początku zakrzyknęła, podparłszy się w boki: O! o! nie dla psa kielbasa! nie dla kota sadło! Ale po rozwadze utarłszy nosa fartuszkiem i obliczywszy wartość handlu i kamienic, rozmyśliwszy się, że Balowie bardzo dobrze stoją w interesach, westchnęła tylko. Pan Erazm tymczasem bywał, a choć go od Ludwiki odganiała stara, potrafił przecie i podobać się i zakochać.

Jak się raz zakochał, jakby go kto jeszcze ukropem podlał... nie było tam spokoju. nie było ratunku, latał do szalonego podobny. Hornfeldowa tylko się śmiała.

Przyszła koza do woza! mówiła — ale nic z tego nie będzie! nie!

W tych czasach jakoś rozgniewawszy się na służącą, wedle wyrażenia Murzyńskiego, wdowa bryknęła. Ludwisia została na opiece stryja, wuja i półtorej kopy różnych krewnych. A że miała posag dobry, młoda była i ładna, a krewni mieli synów, siostrzeńców, brataników i tym podobnych kawalerów na ożenieniu, ciężko szło panu Erazmowi.

Ale jak w początku drażniła go matka, tak potem krewni podnieśli w nim jeszcze przywiązanie do Ludwiki. Ona też wybrała go sobie oddawna. Raz jakoś, zbliżywszy się i dawszy sobie słowo, pomimo tysiąca intryg i przeszkód, pobraли się.

W Ludwice Bóg dal kupcowi zastępcę nieodżałowanego Murzyńskiego, nie obca rzeczy, do porządku nawykła, objęła ster domowy, dyрекcją handlu, rachunki i pozornie będąc najniższą sługą, a nawet w rzeczach większej wagi chętnie się poddając zdaniu męża; w wykonaniu i szczegółach była jego prawą ręką.

Żyli też z sobą jak para gołębi, a Pan Bóg dal im syna i córkę. Miała nieraz Ludwika wiele do zniesienia z gorączką mężowską, ale do wybuchów tego rodzaju od rana z matką była przywykła, zwyciężała łagodnością, cierpliwością, słodyczą.

Była to w istocie znakomicie obdarzona i zacna niewiasta; jedna z tych istot, które szczęście w dom przynoszą. Nic jej zatrwożyć, nic zmieszać, nic pogody jej przerwać nie było w stanie. Na rzeczy nieporatowane miała poddanie się bohaterskie; na trudne wylanie się w pracy.

Życie też z nią płynęło pocziwemu panu Erazmo-

wi najswobodniej, najszczęśliwiej i gładziutko; przyrosło dostatku, poszło szczęściem i dolą i ani się opatrzył jak został jednym z najbogatszych właścicieli miasta.

Razem też przyszły i obowiązki, bo Bóg dał syna i córkę... ale nim o nich powiemy, musimy obszerniej nieco namienić o zmianie jaka nagle zaszła w obyczajach, sposobie widzenia i dalszych projektach pana Bala, z powodu bardzo mało znaczącej okoliczności.

Drobne ziarno piasku całą tak ślicznie na spokój i szczęście urządzoną wstrzymało machinę! Nie ma jak owe niepostrzeżone ziarna na wywarcie wielkich skutków; wstydzi się teraz na poważną matronę wychodząca historia maleńkich przyczyn, ale ich jednak podartym fartuszkim swoim uigdzie przykryć nie potrafi.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

### O herbie Gozdaya. o Balach i innych heraldycznych rzeczach.

Pod owe czasy żył w Warszawie zacny bardzo człowiek, niejaki pan Piotr Lewon, nie młody już kawaler, pamiętający dawne czasy, niewiadomego pochodzenia, funduszów i zajęć, jedna z tych zagadkowych istot, które na brukach miast niewiedzieć jak wyrastają i nikną. Stał on od bardzo już dawna w jednej z wąziutkich kamienie rynku Starego Miasta, z kądem na Boży świat wychodził czasami i do niektórych znajomych na wieczory uczęszczał, mając gwałtowną potrzebę a raczej nałóg grania marjasza. Gdyby nie to, możeby tak często na miasto i ulice się nie wymykał, bo go jakoś towarzystwo nie bawiło, i nosa nie pokazał gdzie marjasza znaleźć nie był pewien.

Był to posepny, milezący, surowego oblicza z zarozumiałością w całym obliczu wielce wydatną mężczyzna, lat... podeszłych, ale go na dacie, z którejby mu me-

trykę wyrachować było podobna, nikt nie złapał. Wysoki, sztywny, z głową podniesioną do góry, nosił się po francuzku ale ze staroświecką. Twarz jego miała cerę pargaminową, oczy wejrzenie szklane i obojętne, jakby spracowane i do patrzenia na świat nie przywykłe. Na ustach nigdy mu nie powstał uśmiech, czoło zmarszczone nigdy się nie rozpogadzało, mówił nadzwyczaj mało, o rzeczach obojętnych, o sobie nigdy, pieniędzy u nikogo nie pożyczał, na obiady się nie wpraszał, a zbyt przyjacielskie figury, do poufalości się cisnące, zdaleka trzymał. Widywano go w różne miasta części jak ćmę wylatującego wieczorami w jasno-piaskowym płaszczu, kapeluszu, z łaską staroświecką, powolnie przesuwającego się z objętnością człowieka, którego miasto nie obchodzi wcale, bo zna jego tajemnice. U niego w mieszkaniu nikt ze znajomych nie był; wiedzano tylko że je miał na trzeciem piętrze, a z oszczędności i obioru miejsca wnoszono, że nie musiał być zamożny. Wszakże niekiedy zjawiały się oznaki dawnego jakiegoś dostatku: to kosztowna szpilka na żabotach, to pierścień piękny, to zegarek kameryzowany. Zwykle jednak pan Lewon chodził w szaraczku i z jednym krwawnikiem. Oprócz marjasza miał ten człowiek jedną jeszcze manją dziwną, ale na dawne czasy nie tyle co dziś zastanawiającą, był to zapamiętały heraldyk. Nikt lepiej nie znał nad niego wszystkich familji Polski, Litwy, Rusi, Inflant, Kurlandji, Prus i dawnych prowincji, ich kolligacji, pochodzeń, dawności, herbów, czystości krwi i t. d. i t. d. Była to materja, o którą tylko zaczepiwszy poczynął jak z księgi i prawil przeskakując z przedmiotu w przedmiot bez końca. Nikt też ze znających go nie potrafił drażliwej żyłki, tak się obawiano

potopu wiadomości pana Lewona. Sygnet na palcu z herbem Gozdawą, oznajmował wymownie że i on sam do szlachty należał. Bicz na nobilitowanych neofitów, skartabellaty i indygiematy świeże, na podszywane genealogje; znał na palcach, kto kogo rodził i z kogo pochodził, a ta nauka posunięta do stopnia, w którym w manją niemal się przedzierzga, nadawała mu cechę właściwą i odrębną. Dodajmy, że czasami widywano go w piaskowym płaszczu na ulicy zajętego rozpatrywaniem starych książek, które żydzi po ulicach nosili. Byli tacy co go za niezonego mieli, ale więcej poczytywało za warjata, co dowodzi tylko, jak często zaciętrzewiona nieczoność do warjacji bywa podobna.

Ten tedy pan Lewon jednego razu przyszedłszy do pana Erazma, którego żona i dzieci wyszły były do krewnych w odwiedzinę, gdy przerabiali karty do marjasza, w którego dosyć niechętnie grywał gospodarz, z powodu żywości swego charakteru, odezwał się, patrząc po suficie:

— Bal! Bal! pozwolisz się Acan Dobrodziej zapytać, z jakich to Balów familja pańska początek swój bierze?

Pan Erazm który w tej chwili karty miał zbierać, zastanowił się, gębę otworzył, oczy wytrzeszczył i nie zrozumiał.

— Jaktó? jaktó? zapytał, alboż co?

— Bo Balowie, odrzekł ze zwykłą powagą pan Lewon, są starą piękną familją szlachecką naszą, a że na nieszczęście jedna gałąź ich rodu w nowinkach genewskich zasmakowała, możnaby sądzić, że z tego powodu i do miasta może się przeniosła, a zbiegiem okoliczności...

Pan Erazm słuchał chciwie, rzekłbyś wielkiego jakiegoś objawienia, które życie jego całkiem odmienić

miało, w końcu porwał się wywracając krzesło z pośpiechu. Jak błyskawica przemknęła mu się po głowie myśl, że ojciec jego coś także o tem napomykał. Dotąd nigdy jeszcze nie wpadł na przypuszczenie starożytnego rodu, w tej chwili możność dowiedzenia go, wstrząsała nim jak iskra elektryczna. Znać była tam zdawna żyłka, która tylko zastygła...

— Mościrdzieju! — zawołał, jak zwykł był gdy się bardzo spieszył (co czasem przechodziło nawet przy większej egzaltacji na Mościzin i Mein, i służyło żonie za barometr stanu duszy małżonka). — Mościrdzieju! toć mi pan nie nowinę mówisz. Świętej pamięci ojciec mój, Balcer Bał, mawiał o tem często żeśmy szlacheckiego rodu.

Lewon podniósł głowę i zażył tabaki, nogę na nogę założył i zamyślił się.

— Mogłoby to być, mogłoby to być, — rzekł z wielką flegmą, nie zważając na egzaltację pana Erazma, który wziawszy krzesło między nogi, jeździł z nim do kola niecierpliwie chcąc zbadać z której strony pan Lewon mówić zacznie. — Bałowie piękna familja, jedna z bardzo starych i zacnych gałęzi rodu Gozdawitów, do którego i ja szczytę się należę. Ale proszę Acana Dobrodzieja, masz jakie dowody? papiery... Proszę zdjąć, dodał, usiłując rozpocząć marjasza.

Pan Erazm z wielkiem roztargnieniem, byleby nie przerywać, zdjął karty i puścił się w grę nie wiedząc co robi.

— A jakże, papiery mam! są! są! tylko że się to o to nie dbało dotąd. Ale znajdę i uporządkuje. Ale Mościzin, proszę mi cokolwiek o tej familji powiedzieć...



— Acan Dobrodziej zadajesz boś zabił! rzekł z przyciskiem pan Lewon.

— Zadaje... ale familja! gorąco podchwycił gospodarz.

— Familja Balów Gozdawitów... ale najprzód, przerwał Lewon, wieszże Acan Dobrodziej co jest herb Gozdawa?

Tu zdjął sygnet z palca, wytarł go o połę fraka i zbliżając do świecy, pokazał wielce rozeiekawionemu panu Erazmowi.

— Herb ten, zowiący się Gozdawą, poczał powoli, profesorskim tonem, jest jednym z wielce starożytnych i w całym świecie najzacniejszych. Liljami pieczętnie się Francja, familja Bourbonów!

— Jezu Marja! wykrzyknął chwytając za sygnet pan Erazm, Burboni! Burboni! Więc i ja jestem Burbon...

— Nie idzie zatem, odparł nie się nie rozgrzewając pan Lewon. Jest rzeczą niezawodną, że w Polsce wszyscy Gozdawowie z jednej krwi pochodzą, ale w innych krajach znak ten tylko spotyka się z naszym, nie mówiąc o związkach krwi. Ta jego czystość herbowna szlachetności tylko dowodzi.

— Ale cóż wyobraża ta figurka? sześć ziarenek cytryny, czy co?

Lewon ruszył ramionami, ale się nie zniecierpliwil.

— Mają to być dwie lilje, jedna do góry, druga na dół, rzekł, tak z sobą spojone jakby jedną były. Białe być powinny w polu czerwonym, przewiązane żółto... na helmie.

— Na jakim helmie? — parsknął pan Erazm.

— Acan Dobrodziej nie heraldyki nie umiesz? — spytał gość.

— Ani wiem co to jest... ale cóżto do tej Gozdawy?

— Grajny no w marjasza, trochę cierpliwości, wszystko się wyjaśni! odparł Lewon.

— Ba Mociudziu! krzyknął gospodarz, ale ja bo całkiem cierpliwości nie mam i nigdy jej nie miałem.

— Inaczej się Acan Dobrodziej o niczem nie dowiesz... zadałem paufila! mówmy o czem innem.

Jakkolwiek i marjasz i gość niepospolicie niecierpliwichu pana Bala, nie było sposobu; potrzeba było chcąc się czegoś dowiedzieć, nie pokazywać po sobie rozjątrzenia i nie wybuchać. Zagryzł usta pan Erazm, siadł szczelnie na krzesełku i dał sobie słowo honoru, że będzie udawał flegmatyka. Niekiedy tylko to na sobie coś darł, to się szczypał, to trząsał ramionami, na co metodyczny gość nie zważał.

— Herb Gozdawa, mówił powolnie... noszą lilje, lub żeleżce lane Burboni...

— Lub żeleżce? podchwycił Erazm, albow to do siebie podobne...

— Mnsi być podobne. to rzecz u heraldyków nierozwiązana.

— A! a!

— Noszą lilje Farnezjusze... i wiele innych rodów.

— Więc to herb endzoziemskiego autoramentu? spytał powolność udając pan Erazm.

— Nie. mają go genealogiści nasi za własny w XI lub XII wieku u nas nadany...

— Co dowodzi siedm wieków starożytności! piękna rzecz! podchwycił pan Bal.

— Lat siedmset dwanaście będzie tego roku, poważnie i z pewnością wyrzekł Lewon.

— A to i nie jedno brabstwo takiego szlachectwa nie warte! — krzyknął pan Erazm.

— Ale Acan Dobrodziej powinienś bić kozerą!

— A przepraszam, biję! cóż tedy?

— Moe mamy sławnych ludzi w herbie Gozdawa, a familji do niego należących pięćdziesiąt i sześć, licząc w to litewskich Gozdawitów, których szlachta polska z łaski przyjmowała... czego Acan Dobrodziej nie możesz być świadom.

— Ani o tem wiem! Kiedyż to było?

— O to mniejsza, stare dzieje! Wracam do Balów.

Pan Erazm ręce aż zatarł.

— Początek Balów ekstra daleko niektórzy wywodzą... Acan Dobrodziej dajesz karty...

— Daję Meidziu! daję!

— Po trzy?

— Po trzy. Wracamy do Balów...

— Wiedzą ich niektórzy od Baltas'a księcia Gotów.

Pan Erazm pochwycił się, krzyknął Księcia i włosy oburącz podgarnął do góry.

— E! jeżeli to ma grę przerywać, to Balów odłożymy na...

— Ale nie! gram! gram!

— Niejaki też Balas, za Justynjana, za rzymskich czasów, Massagetów wodził przeciwko Wandalom...

— Okropności! cicho szepnął pan Erazm, który już trzecią pulę w krótkim czasie przeciagu przegrał, a z nią złotych dwanaście.

— Genealogowie nasi pewniejszą już mają wiadomość o Mściugu, czyli Mszczuju z Balowa Burgrabi krakowskim w początku XV wieku.

— A niechże ich wszyscy djabli porwą! ofuknął pan Erazm gorąco — a pocóż Burgrabia? to musi być potwarz!

— Insi też to byli Burgrabiowie — rzekł z nśmiechem pan Lewon.

Ale zawsze Burgrabia!

— Mikołaj ożeniony był ze Zdowską z Nowego Tanca, dziedziczką dóbr tego nazwiska, od którego czasu poczęli się Balowie pisać z Nowego Tańca.

Pan Erazm na ten Taniec tylko ramionami ruszył. gość grał i ciągnął dalej czwartą pulę.

— Pisali się także z Oczwi i ze Średni i z Balowa i z Balogrodu.....

Tak opowiadając niesłychanie rozwlekłe o całej Bałów familji z Niesieckiego i innych. a podobno nieco i poklamawszy, pan Lewon pięć pul wygrał u zachwyconego odkrytem szlachectwem pana Bala, zgarnął pieniądze i ujął za kapelusz.

Ale niespokojny gospodarz tak go puścić nie chciał, wszyscy Balowie z księciem Gotów i wodzem Justynjana na przodzie ebodzili mn po zamąconej głowie, szlachectwo schwyciło go za serce, chciał czegoś więcej nad nrywane te wiałomostki... schwycił więc pana Lewona za ręce i zawołał:

— Klinaś mi Mścidziu zabil potężnego w głowę i mnsisz go wybić! mnszę lepiej się o Balach rozwiedzieć. Nie mógłbym mieć o tej familji notatki?

— Notatki! notatki! i powoli mruczał flegmatyk kładąc zielone rękawiczki... aleć to jest w Niesieckim.

— Ale gdzież ten Niesiecki, i po co nam on? ja go nie znam, a Mścidziej to tak dobrze wiesz!

— Niesieckiego książka, przed którą skłaniam głowę, wie to lepiej odemnie... kup sobie Acan Dobrodziej Niesieckiego.

— A gdzież go dostać? gdzie?

— U żydków.

— Droga to rzecz?

— Tak, z dziesięć dukatów, ale podrożeje.

— Jeżeli tak, to nie nie stracę, rzekł pan Erazm, który w książki się wdawać nie lubił, kupię go, przepiszę i odprzedam.

— Zmiluj się Acau Dobrodziej, toć dla szlacheica nieuchronna książka.

— Dla szlacheica! z cicha sobie powtórzył Bał, zacierając ręce, kupię zaraz jutro...

— Dobrej nocy życzę...

— Pisali się na Bałowie! powtarzał żegnając p. Erazm.

— I na Oczwi i na Średni! dodał znikając Lewon.

Ten wieczór i rozmowa, na pozór mało znaczące, ogromny wpływ wywarły na losy pana Erazma i jego rodziny, tak ta myśl szlachecka opętała jegomości.

Po wyjściu gościa kręcił się jak oparzony, nie mając komu zwierzyć nowiny pan Erazm i czekał przybycia żony, z podwojoną niecierpliwością latając po pokojach, i powtarzając: na Bałogrodzie! na Oczwi! książka Gotów! Massageta!

Jeszcze progu nie przestąpiła żona, gdy naprzeciw niej wyskoczył mąż widocznie cały zentuzjazmowany, wołając:

— Wiesz kochanie? nie nie wiesz! Bałowie są istną starą szlachtą! Superfein, na Bałowie! na Oczwi! Był jeden księciem Massagetów, drugi Justynjanem... myślę się, wodzem cesarskim... mają w herbie dwie lilje podobne do gwoździków.

Żona w pierwszej chwili przełękła się, myśląc że oszalał, tak go zrozumieć nie mogła, otworzyła oczy, osłupiała.

— Co to jest? pytała przestraszona.

— Był u mnie ten poczciwy Lewon, on mi tu wszystko jak na dłoni dowiódł, że jesteśmy bardzo starą szlachtą, nawet książęcego rodu...

— Serce moje, łagodnie odezwala się pani Balowa, a to nam do czego?

— Do czego! do czego! krzyknął w furję wpadając pan Erazm, śmieszna kobieto! krótko-widząca kobieto! szlachectwo to klejnot! rozumiesz asani?

Pani Erazmowa ruszyła ramionami chcąc iść dalej, ale mąż jej nie puścił.

— Balowie byli panami, rzekł i będą, dodał podnosząc rękę do góry proroczo. Są skoligaceni z Firlejami, ze Słupeckimi, z Gołuchowskimi, z Drohojewskimi, z Tarłami, jak mi pan Lewon zaręczał...

— Moja duszko! ale cóż tobie dziś jest? — odezwala się kobieta.

— Co mi jest? krzyknął Bał, to mi jest, że jestem szlachcic!

— A ja jestem zmęczona i chcę się rozebrać, odpowiedziała Ludwika.

Dzieci słuchały i nie rozumiały.

Scena się na tem nie skończyła, bo pan Bał długo jeszcze pocziwiał żonę szlachectwem męczył, a w nocy ojcowskie drabował papiery, latał budzić towarzyszkę z dowodami rodowitości, i nazajutrz rano poleciał po Niesieckiego, którego pierwszy tom dźwigając, sam wbiegł i zamknął się u siebie, nasycając całą familją Bałów i niebieskich używając rozkoszy.

Że jednak przywykleszy był do rejestrów jak do rozumienia herbarzy, wiele mu wątpliwości nierozjaśnionych zostawalo, które, jak mniemał, tylko pan Lewon

mógł rozwiązać. pospieszył go szukać na Starem Mieście. Nie łatwo to przyszło, bo go po nazwisku nie znano na rynku Starego Miasta, i dopiero wpadłszy na myśl opisaną piaskowego płaszcza, dowiedział się zacy pan Erazm o mieszkaniu człowieka, który go tak swoją heraldyką zniespokoił.

Wdrapał się po ciemnych, wązkich, starych schodach zdyszany kupiec na trzecie piętro i do drzwi zapukał.

— Któż u licha! odezwał się głos wewnątrz.

— Ja do usług panskich... Bal.

Cicho, ani słowa, mrnczenie tylko.

— Czy mogę wejść?

Nic na to.

Niecierpliwa sztuka, przemknął trochę drzwi, wścił głowę i zobaczył długiego wielkiego pana Lewona, który z wzrokiem dosyć groźnym śmiesznie wkładał na się niuchronnie konieczne ubranie.

— Ale na cóż te ceremonje! — zawołał wpadając pan Erazm — stokroć przepraszam...

— Nic nie szkodzi.

Obejrzał się wkoło przybyły i pojął. że ta wizyta nie była pożądaną. izdebka bowiem, którą zajmował starzec, nie miała nawet dwóch krzeseł, ani nic, coby na gości obrachowaniem było... nędza lub skąpstwo patrzyły zewsząd. W dodatku tak była zarzuconą papierami, zwojami i książkami, że żywy ale nieostrożny gość nie pojmował, co z sobą zrobić.

Był to maleńki pokój z dwójgiem okien na ulicę, wązkich i małych. w jednym końcu łóżecko, w drugim stolik z wszelkiego rodzaju gospodarstwem; reszta zarzucona papierem drukowanym i pisanym, którego by ledwie na zawijanie gorszych swych towarów chciał

nżyć pan Bał. Skłopotanie nie małe malowało się na twarzy gospodarza, który wciąż nakładając konieczne odzienie (bo siedział bez ceremonji w jednej koszuli i szlafmicy), pomrukiwał coś pod nosem. Gdy się stało coraz widoczniejsze, postrzegł je i kupiec, a nie wiedząc jak się wykręcić, zawołał:

— Ale ja nie przeszkadzam, chciałem tylko zaprosić na marjasika na wieczór.

Skrzywil się stary. — Prawdziwie, nie wiem... nie wiem, czy będę mógł...

— Ale jeżeliby można... chciałem niektórych objaśnień o tych Bałach w Niesieckim.

— Acan Dobrodziej masz już Niesieckiego?

— Mam!

— Jeżeli będę mógł, jeżeli będę mógł — mruknął stary.

Przybyły widział konieczność wysunięcia się, nie mając nawet gdzie sięś, ale darmo spodziewał się wieczorem gościa, bo pan Lewon, zapewne nowych napaści obawiając się, nigdy już na Bielańskiej ulicy nie postął, bo w rok potem niewinny ten złego początek umarł; pokazało się po śmierci, że to był zagorzały heraldyk bez grosza przy duszy, który nad nowem Niesieckiego wydaniem pracował do zdoła, jak to dawniej mówiono. A że doskonale grał w marjasza, co gdzie wygrał, na nadzwyczaj skromne życie i zakupienie książek obracał. Żył często bułką i wodą lub mlekiem, nocy i dnie pracując, i był już w literze M, gdy go śmierć zaskoczyła...

Rękopisma... leżały długo w kącie na poddaszu, póki ich szczątków ktoś nie uratował; mówiono że się dostały do Lipska... i ztąd nrosło nowe Niesieckiego wydanie.

Tymczasem pan Bał, myśli raz zawziętej nie rzucając, jak dalej życie poprowadził to zaraz ujrzymy.



### ROZDZIAŁ III.

#### **Dzieci i nowa jedna znajomość.**

Zdawało się panu Erazmowi że mu się od tej daty nowe życie poczęło, a Ludwika westchnęła za dawnym spokojniejszym; w istocie ten żywioł nowy wrzucony w żywot ich miejski, zakłócił byt ich i zamieszał pokój. Przy gorączce której pan Erazm ulegał, nowe szlachectwo nadało mu niepospolite kłopoty i śmieszności. Jakiś czas latał ciągle, każdego spotkanego nwiadamiając o Balach, Balogrodzie, Oczwi i Średni, nie omieszkując Massagetów, Justynjanowego wodza, tak że nieboraka Massagetą przewali. W końcu już go drudzy witali tem mianem. Ale że znano pocziwce jego serce i ceniiono człowieka, darowano mu śmieszność, którą na siebie dobrowolnie ściągnął.

W domu z temi przybyłemi Balami nie tak poszło łatwo: wszystkie projekty poczęły się zmieniać z wielkim przestрахem i niepokojem żony, która jedno miała na to lekarstwo — niewyczerpaną cierpliwość.

Szlachectwo stare stało się manją pana Erazma i znacznie wpłynęło na jego sposób zapatrywania się na przyszłość własną i dzieci. Chciał rzucić handel, sprzedać domy i wrócić do jakiego Bałogrodu lub Bałowa. Myśl ta zupełnie go opętała, a największych trzeba było starań ze strony żony, żeby jej nie dać zaraz i ze szkodą znaczną do skutku doprowadzić. Wpłynęła ona także na wychowanie dzieci, które były niedoroste jeszcze: miano je zawsze z jak największą troskliwością usposobić do świata, ale teraz nowe otworzyły się widoki. Syn, który był Aurelianem w metryce, otrzymał przy chrzcie spóźnionym z ceremonją imiona Stanisława-Piotra-Michała, w familji Bałów zwyczajne.

Córce chciał dać także imię Kunegundy, na cześć którejś praprababki, ale żona wymogła że została Eliza. Syn który rozpoczął był wychowanie w szkołach a kończył je w uniwersytecie, najmniej był obłąkany tą szlachecką chandrą ojca: córka, choć tego nie pokazywała po sobie, więcej wzięła godność swoją do serca. Matka poczciwa ubolewała tylko, ale cóż począć mogła z upartym bardzo, żywym jak siarka i niepokonanym na tym punkcie Massagetą?

Im więcej starała mu się próżność marzeń tych okazać i zupełnie niepotrzebne ich w życiu do którego przywykli wtrącenie, tem pan Erazm silniej się przy swoim upierał. Tyle jednak rozsądną swą powolnością dokazała pani Bałowa, że mąż przyrzekł jej, choć dobra kupi, ani domów nie sprzedawać, ani handlu nie rzucić. Oboje myśleli po cichu, jedno: wrócimy po przykrych doświadczeniach do dawnego; drugie: da się to wszystko zrobić powoli!

Tymczasem i panna Eliza i pan Stanisław rośli i

gotowali się zająć swe miejsce w czynniejszym życiu. Eliza była bardzo podobną do ojca, z tą różnicą, że rysy jej twarzy szczęściem widealizowały to podobieństwo, nie trzymając go się ściśle. Żywa jak ojciec, ale daleko otwartej głowy. Lizia była śliczną panienką, jedną z tych uroczych, czarnookich Warszawianek, które łatwiej spotkać na ulicy od brzydkiej i pospolitej twarzy, tak tu piękność jest pospolitą. Jej wdzięk, trochę majątek, trochę pieszczoty ojca i powolność matki, zawróciły młodą główkę, która się dosyć dumnie wznosiła na ślicznej szyjce labędziej. Małenka, zreczna na podziw, z drobniechną dziecinną prawie nóżką i rączką, zgrabna jak wiewióreczka, złośliwa nieco, bo się lubiła z dowcipkiem popisać, ognistym okiem czarnem mierzyła życie, nad którym panować chciała.

Umieszczono ją w początku na najlepszej pensji u niejkiej p. Blanchard, instytutorki z Paryża wprost przybyłej, do której cisnęły się najzamożniejszych rodzin dzieci. Tu w towarzystwie kilku hrabianek i jednej nawet księżniczki trafem zbłąkanej na pensję i służącej za łep dla matek, Lizia nabrała pogardliwego toniku i wielkiego rozumienia o sobie, a że się czuła w przyszłości bogatą, że się znała piękną i powabną, roila świetne, bardzo świetne losy. Była to ulubienica ojca, chociaż i matka miała ku niej czułe przywiązanie, ale ta czując trochę niesprawiedliwość ojca, który syna nie tyle lubił, ku niemu się przychyliła raczej.

Pan Stanisław wszedł do uniwersytetu w tych czasach, kiedy w odrodzonym królestwie wszystko wzbudzone na nowo życiem pałało, kiedy jego młodzież, jak puls ognisty, każdą piękną myślą, każdym szlachetnem biła uczniem. Była to chwila, w której wszy-

scy do najmłodszego studenta chwyтали się nauki, łaknęli jej i chętnie pili z krynie oświaty lepszą przyszłość. Walki literackie, z których wyrodzić się miała szkoła nowa, zdobycze naukowe, wyrabiające się zasady moralne, obchodziły tę młodzież, pragnącą pracować, podnosić się i stać użyteczną. Jak do boju, stając do swego zawodu mozolów i trudu wszyscy skupieni szli jedną bryłą, sympatycznie związawszy dłonie braterskiem uczuciem. Miło było spojrzeć na ten zastęp spokojny, w którym tyle żyło i kwitło nadziei, mających marnie zagasnąć. Stanisław należał do najpracowitszych uczniów, do najwcześniej spoważniałych młodych ludzi, co spiesząc do życia surowego przeskoczyli lata wesolej nieopatrzonej pory wiosennej. W nim już był mąż, a pierś twarda jak zbroja, głowa myśląca znojmie, dłoń co nie drgnęła do próżnej zabawki, gotowe były do zawodu, którego czuł i pojmował ważność.

Był to piękny, słusznego wzrostu, krzepki i silny młodzian, nad którego piękniejszym wówczas nie mogła się poszczycić Warszawa; trochę mu tylko ujmował wdzięku ten wyraz zawczesnej, smutnej powagi niewłaściwy może wiekowi. Oczy czarne, piękny włos ciemny, cera brunatna, okraszona rumieńcem żywym, usta smutnie po większej części ściśnięte, nos długi i prosty pięknej linii, składały całość zastanawiającą.

Milczący i zadumany najczęściej Stanisław, gdy z niego dobywało się uczucie, gdy niemi rozgorzał, był tak porywający, tak zwycięzki, że wszystkim usta zamykał. Przekonanie głębokie tak silnie mówiło z niego, iż mu każdy mniej pewien swego ustąpić musiał. Dla ojca powolny, posłuszny, ale zanadto zdający mu się łagodnym i milczącym, bo się przed nim nigdy wy-

wnętrzyć nie umiał — nie miał też u niego łaski. Wolał on Lizię trzpiota, która figla splatawszy, umiała się tak ojcu przyliżać, że jej zawsze darował.

— Żeby ten spryt panna Stanisławowi, mawiał ojciec, co Pan Bóg dał. Lizce! o! o! To mruczek, z cicha pęk, zanadto na swój wiek na sensata zakrawa, a zimny jak lód! To mi dziewczyna! wykapana moja natura! a! jak mnie rozumie!

Lizia szczególniej z najslabszej strony pojęła pana Erazma i manję jego szlachecką doskonale przejąć potrafiła; to właśnie podobalo się mu najwięcej. Stanisław choć się w tem ojcu nie sprzeciwiał, ale też widocznie z nim nie sympatyzował, i to mu w sercu pocziwego pana Bala wielce szkodziło. Wiedząc jak matka przeciwną jest w tem ojcu, Lizia umiała z dziwną zręcznością dobrać zawsze tak chwilę potakiwania ojcu, żeby matki nie zniecierpliwic. Stanisław brzydząc się fałszem, ilekroć był otwarcie spytany, szczerze się też spowiadał, że podzielał matki zdanie. Lizia naówczas milczała lub wykręcała się dwuznacznikami.

Jedyną pociechą zastraszonej mężowskiemi projektami pani Balowej, był ten dorastający syn, który nie dając się próżności uwieść, zdrowo widział rzeczy, i jak ona rokował o przyszłości.

Kiedy się ta powieść rozpoczyna, Stanisław skończył już nauki i powrócił do rodzicielskiego domu, szczerze mimo ojca biorąc się do handlu, który za powołanie swoje uważając, umiał wznioślejszą o jego znaczeniu uszlachetnić myślą. Stanisław marzył o wielkich obrotach kapitału, o przedsięwzięciach dla kraju użytecznych, o użyciu grosza na rozkrzewienie jakiego zbawiennego wynalazku, i pojmował, że kapitalista i kupiec z tego

stanowiska zapatrując się na powołanie swoje, równie jest użytecznym obywatelem, jak każdy inny. Napróżno ojciec z przykrością patrzący na swój stan, starał się wlać wąż trochę dumy.

Jedyną dumą i pragnieniem młodego człowieka było pozyskać sobie prawdziwą zaślugę, świadectwo własnego sumienia i pocziwą sławę u rodaków. Wszysey dawni Balowie, których umiał szanować, byli mu zupełnie obojętni, bo nie zdawało mu się, by który z nich za niego zrobił to, do czego on był obowiązany.

Stanisław, jak widzimy, brał te rzeczy głęboko i ze strony ich rzeczywistej, a matka podzielała jego zdanie. Lizia powierzchownie sądziła i namiętnie chwytala się marzeń ojca.

Tymczasem nie trafiała się jakoś zreczność nabywania dóbr, o których tak marzył Erazm, i pomimo gorączki trawiącej go, do skutku zamiaru swojego przywieść nie mógł. Handel szedł bardzo dobrze, a że kapitały przyrastały, a domów więcej nabywać sobie nie życzył pan Bał, rozszerzał mimowolnie zakres jego.

Jeden z najniebezpieczniejszych pochlebów i pieczeniarczy, którzy bogatego kupca otaczali, był podówczas niejaki pan Zrębski, stary już adwokat, z dawnych owych trybunałskich kanzyperdów, co to całe prawo zasadzali na wykretarstwie. Niedłdy nawet aplikował jeszcze za Trybunał w Lublinie, w czasach zepsucia i demoralizacji, którą szerzyły nie szlacheckie skronne sprawy, ale intrygi i wybiegi panów, nie wahających się cudzemi rękoma brudny żar zagrzebywać. Maciej Zrębski wyszedł z najgorszej szkoły, był przyślawnym mecenasie, któremu zwykle powierzano zdesperowane tylko interesy. Tam on nabrał tego przekonania prak-

tycznie wpojonego, że na świecie co komu dozwolone, a z ręcznie się robić daje i pocichu, to godziwe. Fizys to była ciekawa i podejrzewam, że z podobnego jeana Norblin rysował swego patrona. Słuszny. Chudy ale grubo-kościsty, z podniesionymi ramionami, osadzony na ogromnych płaskich nogach, pan Zrebski posuwał się na nich bezpiecznie, nie lekając upadku i śmiechając ze świata, którego blaznem pospolicie nazywał. Z siebie gładzić o ludziach, nikogo nie cenil, a rodzonnego brata byłby odarł, byle gładko.

Pod te czasy już moralność powszechna znacznie się była podniosła, nieszczęścia natchnęły, prawdy, nie było już owych skandalizujących procesów, które na zgorszenie świata dawały, wygrana silniej zemstą: opinia publiczna nie dozwalała ich nawet rozpoczynać, bo palcem wskazywała tych, co je ośmielali się podnieść. Pan Zrebski powoli uczul się opuszczonym, ludzie rozstępowali się do kola niego, klientella zuikala, sława szła w niepamięć, pozostał na boku. A że nie wiele się zebralo dawniej i lichy zebrany nie najlepiej poszło, bieda poczynala przez dziurawe niekiedy buty i otarte łokcie wyglądać.

Krzepił się jednak nasz pan Zrebski nadrabiając miłą umiejętnie, malując na czarno szkarpetki, latając łokcie wylotami, bo się po polsku nosił jeszcze, ale po cichu wzdychał ciężko, wyglądając tylko na jaką gratkę.

Manja nabycia dóbr pana Bala robila mu niejaka nadzieję, że się przy tym interesie obłowić będzie mógł; pochlebając więc jej z ręcznie, wyczywszy się genealogji, nie spuszczał z oka pana Erazma na chwile, czyhał na porę i uczeszczał do jego domu, w którym się utrzymywał niecenem pochlebstwem. To się jednak nie

brało. tylko do pocziwego a słabego pana Bala, reszta rodziny miała wstret do tego człowieka i bynajmniej się z nim nie kryła. Zrębski udawał jakby tego nie widział. a zawsze uniżony, pelen protestacji i komplementów, im się zimniej z nim obchodzono, tem goręcej nadskakiwał.

Oryginalna to była postać. Oprócz statury wysokiej, ramion do góry podniesłych, i nadzwyczaj wielkiej a płaskiej nogi, odznaczała go głowa spiczasta, wyłysiała, z wichrem na wierzchu, ręce długie i ogromnemi palcami kościstemi zakończone. Trudno mi tę twarz odmalować. w której tyle było charakteru, co by go łatwiej ołówek schwycił niż pióro. Wystawcie sobie krogulca przedzierzgniętego w człowieka, do którego drapieżności przymieszałyby się tak obrzydliwa chytróść, że ją o stałe widać i czuć było z niego. Czoło z natury niskie, łysina tylko nieco rozszerzyła, pod jego wystającą nieco deską, oczki okrągłe, biegające, łisie, żółtawe, ruszały się nieustannie, usiłując zwyczajem podobnych ludzi, nigdy się nie dać na gorącym uczynku pochwycić. Były wszędzie, nie złapałeś ich nigdzie. Z pośrodku twarzy wyskakiwał nos zakrzywiony drapieżnie, nieco u końca czerwony i pokrywał troskliwie nsta, które do reszty wąsy zasłaniały. W ten sposób obwarowany, bo oczyma uciekał a warg nie pokazywał, pan Zrębski był zawsze jak w masce. Uśmiech jego zaledwie niekiedy zdradził się marszczką na wyschłym policzku, która okazała się, zadrżała i znikła. Badacz fizjognomji musiałby się przestraszyć wniknąwszy w tajemnice tej twarzy, zaczerwienionej prawie ciągle, i jak mgłą osnutej nieprzebitą zasłoną chytróści ostrożnej. Ruchy i sposób znalezienia się odpowiadały zresztą obliczu paua



Zrebskiego: pokorny do przesady w słowie i ukłonach, niewyczerpany w formach grzeczności, niekiedy do wyskoków hyperbolicznych posuniętej — nie ważył się mieć ani własnego zdania, ani myśli, ani chęci. Najnieprzyjemniejsze zadania spełniał z uśmiechem radości, najprzykrzejsze wyrzuty i przymówki połykał jak słodycze, a gniewu ani zniecierpliwienia nie okazał nigdy. Schwytany tak że musiał zdanie swoje wyrzec nim się domyślił, wybadać otaczających go w tymże przedmiocie, plątał się w takiej sieci słów i wyrażen nierozwikłanej, że go nikt odgadnąć nie potrafił, dopóki z rzutu oka, z miny, z postawy, z ruchu nie dobiadał jak mówić wypadało.

Nie było też trafniejszego nadeń w poznawaniu ludzi, których całe życie studjując dla korzyści i bardzo pilnie, nauczył się na palcach. Z formy zapytania, z jednego słowa, z chrząknięcia, często odgadywał całe pasmo najzawiślejszych myśli.

Z tem usposobieniem otwartego, wylanego i szczerego aż do zbytku, bo nigdy z niczem na chwilę ukryć się nieumiejącego pana Bala łatwo zbadał, przeniknął, poznał i nauczył się mu pochlebiać. Człowiek ten, co nigdy nie przeszedłszy przez smutne doświadczenie, nikogo o przewrotność nie posądził, był dla niego łatwą pastwą.

Co czwartek przychodził na obiad pan Zrebski z pełną nadrą nowinek różnych dla każdego z familji; z tysiącem pokłonów i grzeczności; u progu już wiedział o humorach osób, a tak się umiał do nich stosować, że choć go nie cierpieli wszyscy prócz gospodarza, stawał się przecie znośnym. Wobec rodziny nawet, której się narażać nie chciał, obawiając zwłaszcza

syna, nigdy zbyt otwarcie nie potakiwał panu Bałowi, ale wstrzymywał się tak zręcznie, że i jego tem nie dziwił i drugich nie gniewał.

Pochodzenia pana Zrębskiego nikt nie znał, mówił czasami że był z Płockiego, ale nie wspomniał nigdy o familji i był sam jeden jak palec, goły widocznie, a kto go potrzebował, szukał zwykle w szyneczku i bi-lardzie, na rogu ulicy Daniłowiczowskiej, gdzie najczęściej przebywał. Był to najstalszy tego ciemnego kątką mieszkaniem i od ósmej rano do dziesiątej lub jedynastej wieczorem zawsze tam było można go zastać. W szyneczku tym odgrywał taką rolę jak gdzieindziej, usiłując się akomodować wszystkim, począwszy od slug i gospodyni. do przybyłych gości. Z wielu pod marnym pozorem jakimś rozpoczynał rozmowę i rzadko ją skończył nie zwilżywszy ust cudzym kosztem. Był przytem niesłychanie uczynny. tak, że choć adwokat, podejmował się nawet każdej posługi, i najdrobniejszego zajęcia. byle mu jaki grosz wpłynął. Niekiedy dozwalał sobie płacić nawet traktamentem, ale w takim razie nie najlepiej wychodził częstujący, bo ile mógł zjeść i wypić tego nigdy jeszcze nikt nie doszedł. Trunek go czerwienił ale nie upajał, a jadło połykał jak gdyby tydzień nie miał w ustach.

Zresztą wszystko było mu jedno co dano, byle jadł i pił. Na stronę każdej strawy i wszelkiego napitku miał coś do powiedzenia, w każdym znalazł coś dobrego.

Nie wiem jak się z tym nikomym człowiekiem zapoznał pan Bał, który był bardzo łatwy do zawiązywania nowych znajomości, ale Zrębski raz do niego przystawszy, przyczepił się jak pijawka. Podejmował

się różnych małych posług, chodził na zwiady, odszukiwał dłużników, przynosił informacje, atentował w drobnych sprawach na ratuszu, zbierał plotki i robił co mógł, żeby się wśliznąć w zaufanie i zażyłość z panem Balem. Kupiec miał zwyczaj wychodzić w dzień na przechadzkę do którego z publicznych ogrodów lub za miasto; a że to zwykł był czynić o jednej godzinie, zawsze niemal spotykał na drodze pana Zrębskiego, który go się chwycił i już mu towarzyszył. Te chwile oko w oko spędzane, najwięcej się przyczyniły do związania go ściślej z panem Erazmem: w nich bezsromu wylewał się stary wyga na pochlebstwa i podbił bębeuka kupcowi. Wśród tych to wycieczek wyjednał sobie zaproszenie na czwartkowe obiady i nie jedną potrzebną wysłał wiadomość. A że pamięć miał doskonałą, a pan Bał z niczem się w życiu nie ukrywał, skończyło się na tem, że dom, sprawy, majątność, obroty, projekty kupca znał po niejakiem czasie tak dobrze, iż księga hipoteczna dokładniejszą w tej mierze od niego być nie mogła. Pan Erazm w życzliwość, przyjaźń i przywiązanie Zrębskiego tak wierzył, iż niepodobna było nigdy nikomu z rodziny cienia nawet podejrzenia rzucić na tego człowieka.

— Ten pocciwy starowina, mówił, dalby się za mnie powiesić! Dobrze! dobre człeczysko! z kośćciami! I głowę ma! Mocidziu! dodawał machając rękami kupiec. O głowa! nie dla proporeji.

Tymczasem ów pocciwosz, widąc z napiętą myślą jakąś w głowie, raz się do domu wszrubowawszy, często już i do sklepu zachodził i z komisantami w gawędki się wdawał, a to wszystko miało na celu jak najdokładniejsze poznanie całego domu.

Szło mu o wystudjowanie rodziny tak jak zbadal jej naczelnika. Żaden też ruch mu nie uszedł, żadne objawienie charakteru nie mignęło dlań nie pochwycione. Samą panią, córkę i syna umiał na palcach. — Z tem się jednak nie wydawał, owszem grał we czwartej rolę człowieka nieświadomego, obcego, obojętnego zupełnie, często nie dosłyszał niby czego i wypytywał o to co doskonale wiedział.

Są czasem instyktowe wstręty, jakby przeczucia jakieś, którym człek się opiera, choć one go nigdy nie zawodzą. Jest to jakieś wpół zwierzęce, niewyrozumowane uczucie, sprawujące, że domyślamy się zbliżenia wroga, jak pies naprzykład przeczuwa lekarstwo w roślinie. Przywykli do kierowania się tem tylko co pojmujemy, oburzamy się często na niewytłómaczone pojęcia i antypatje..... skutek później ich prawdziwość dowodzi.

Taki wstręt czuła cała niemal rodzina Bałów do pana Zrębskiego, a sama pani nawet usiłowała w początku mężowi go udzielić, ale pan Erazm oburzył się niezmiernie.

— A zaraz nieufność! a zaraz podejrzenie! krzyknął niemal z furją. Co tobie w głowie Ludwisiu? To pocziwe człeczysko! a proste! a dobroduszne! co mu powiem ma za ewangelją! Czego u licha lada stracha w konopiach się lękać?

I tak ofuknął się na żonę, która zamilkła, więcej już nie próbując nawet obudzić uwagi męża na podejrzaną postać, co się powoli do ich domu wśliznęła.

---

## ROZDZIAŁ IV.

---

### Tajemnice familijne.

W ostatnich czasach sklepy pana Bala zapotrzebowaly pomocników, bo handel znacznie się powiększył; na lat dwa czy trzy przed chwilą gdy się powieść nasza rozpoczyna, pan Erazm nawet był w dosyć wielkim z tego powodu kłopotcie. Jakkolwiek łatwo umiejący zaufać, chciał jednak kogoś, komuby się bezpiecznie mógł powierzyć, bo właśnie do kasy i ksiąg brakowało mu człowieka. Poczciwego nieboszczyka Murzyńskiego trudno było zastąpić, a od czasów zniknięcia jego okularów i peruki, wiele już razy westchnął za niemi osierocony kupiec. Wprawdzie stary był gderliwy, ale jakież to było przywiązanie do miejsca, do domu, do spraw jego i pomyślności, jaka nieposzlakowana uczciwość i dobrowolna abnegacja! Za te pieniądze które dawniej ów kosztował, już dziś lada posługacza dostać nie było można.

Biedził się wielce pan Erazm, gdy jednego poranku

syn przyszedł do niego. Odwiedziny te były w tak niezwyklej godzinie i tak niespodziane, że Bał domyślając się więcej niż znaczyły, porwał się z krzesła i do Stanisława pobiegł jeżąc włosy, bo przeczuwał już jakieś nadzwyczajne wiadomości.

— Ojciec potrzebuje podobno kogoś do ksiąg i do kasy? zapytał Stanisław po przywitaniu.

— Ale jak! ale jak!

— Ja właśnie mam kogoś i śmiało mogę polecić.

— O! a zaraz śmiało! Nie bądźże zarozumiały. Trzeba jak my ludzi znać! z waćpana jeszcze szczygieł! Stanisław zamilkł na chwilę.

— No! a któż to taki? spytał ojciec, mów ho! a prędko!

— Jest to mój towarzysz szkolny i uniwersytecki.

— Eh! eh! chodził i na uniwersytet! ba! ba! ale to smarkacz!

— Trochę starszy odemnie. Znam go dobrze, charakter pewny, umie wiele a pracować lubi.

— Tere fere kuku! wszystko jest! tylko nie ma czego potrzeba! albo to w uniwersytecie uczą tego co mu tu najpilniejsze?

— Chodził na prawo.

— Choćby i na lewo! co to ma na co chodził?

— Ale już trzeci rok w sklepie...

— A! gdzie?

— U M...

— A czegoż ztamtąd uchodzi? Dobrzy ludzie przywiązują się do miejsca!

— On nie uchodzi, ale ja go chcę do nas namówić! Tam mają go kim zastąpić a nam bardzo braknie człowieka.

Zamyślił się pan Bal.

— Zresztą jeśli by to się ojcowi nie podobało, dodał ciszej Stanisław, prosiłbym go o inną rzecz...

— A no! proś! proś! aby prędko! bez tego ucięcia.

— Ja bym może potrafił to miejsce zająć — próżnuje...

Pan Bal aż podskoczył

— Oszalał czy co! co właściwie w głowie się dzieje? Waćpan nie do handlu jesteś stworzony... Wiesz kto jesteś? Twoi przodkowie spokrewnieni byli z pierwszymi w kraju rodzinami. Na nas leży misja wrócenia dawnego blasku upośledzonej zbiegiem okoliczności familji...

— Ależ żadna praca nie uwłacza!

— Tere fere! Potomek księcia Massagetów! co ty pleciesz! co pleciesz, mówię ci! przyskoczył pan Erazm. To są nowe, zgubne, podkopujące egzystencję społeczeństwa zasady, to są niebezpieczne zdania... to są... Ja ci powiadam... Ale z oburzenia, na powiedzenie więcej słów ojcowi nie stało.

Stanisław nie chcąc go rozżarzać, milczał.

— Wybije to sobie z głowy, dodał po chwili milczenia pan Erazm. — Ja chcę żebyś był szlachcicem, panem, urzędnikiem, ale nie kiepskim kupcem, jak ja bieda klepiącym.

Westchnął; westchnął i syn.

— Czego Wać wzdychasz? ofuknął się, albo to zły los? co? jeszcze ci źle?

— Chciałbym pracować.

— Pracuj! Rób sobie stosunki w świecie przyzwoite jak inni młodzieńcy, wejdź w stosowne towarzystwo... to twoja przyszłość.

— No! a ten twój przyjaciel, odwrócił po chwili rozmowę, jak się zowie?

— Jan Strumisz.

— Co to za familja? Strumisz! poczał stary, który już zaraz myślał o herbarzu, czy nie szlacheć przypadkiem?

— Nie wiem, rzekł Stanisław.

— Jakte tego nie wiedzieć! ruszył ramiouami Bał, to pierwsza rzecz o którą się pytać powinno! Ale pewnie szlacheć... nazwisko mi się podoba... przyprowadź mi go jutro...

Teraz słówko o panu Janie Strumisz, który czy był szlachećem bardzo wątpię, ale że był bardzo szlachetnym chłopcem to pewna. Ubożchna ta istota nie wiele nawet wiedziała o sobie, odumarli go rodzice, którzy tylko małeńkie domostwo i dwa razy tyle długów co było warte zostawili mu z sieroctwem. Jeden Pan Bóg się nim tylko opiekował; bo by zginął na bruku jak ginie tyln i tyln. Zawczasu wierzycciele domek z jego wspomnieniami sprzedali, dziecię się zostało tak samo jedno, tak wydziedziczone, że je Pan Bóg za rękę wziąć musiał i ścieżką życia poprowadzić. W siedmiu leciech ksiądz pocziwy poczał go uczyć. Był to stary Kapucyn, który sobie pracy szukał jak drugi spoczynku. Jego ręki nżyła Opatrzność dla malego Jasia, by mu w najbardziej stanowczej chwili nie dać przepaść. W początku przywiązało się to do kapucyńskiej furty, kruchty i kościoła, jak do jedyne go miejsca przytułku. Staruszek widząc chłopię bardzo biedne, co mu z oczu pocziwie patrzało, zajął się sierotą. Nauczył czytać, ministrantury, trochę pisma, a gdy dorósł nieco, dał go bogatszemu komuś do usług, z warunkiem żeby do szkół chodzić mu pozwolił. W owe czasy nie nad to nie było pospolitszego; w izbie służył pauper paniczowi, w szkole na



jednej z nim ławie zasiadał, a często przechodził go pilnością i nauką. Już dalej coraz łatwiej poszło Jasiowi. bo się uczył ślicznie, a łagodniejszego dziecka nie było nad niego. Przybity nieszczęściem. Strumisz z pokorą cichą męczenników przekradał się przez świat lekliwie. Ta pokora nie była w nim podłością, namaściło ją uczucie chrześcijańskie; umiał podnieść czoło zarumienione gdy go dotknięto, ale świętość cierpienia zagrzebanego w duszy, którą czuć umiał zawczasu, zniżała je po wieniec cierniowy.

Pokochali go wszyscy. aż do zazdrosnych, którzy mu jego wyższość przebaczyć musieli dla słodczy charakteru. Już w szkołach zaskarbił sobie tę miłość ludzi. która jest udziałem niewielu, bo ją daje tylko prawdziwie pocziwe serce, które bije na wierzchu, że przez pierś je widać. Był to ulubieniec nauczycieli, kochanek towarzyszków, pożądanym gość wszędzie, a sporów pojednawcą między młodzieżą. Charakter jego tyle już wzbudzał szacunku, że w każdej waśni na jego uczucie jak na sąd przysięgłych się spuszczano. Z tą przyjaźnią wszystkich, z miłością gorącą towarzyszków, przeszedł Strumisz szkoły, dziękując Opatrzności, która mu drogę uścielała; namówiono go do uniwersytetu, gdzie się utrzymując z prepisywań, pomocy słabszym w nauce. nauczycielstwa ciężkiego, potrafił znów odznaczyć, wyrabiając do reszty na człowieka.

Ztąd wyszedłszy świat mu się wydał szeroki i pusty! nie wiedzieć dokąd się obrócić i co robić z sobą. Towarzysze, nauczyciele rozpięchli się powoli, został sam jeden, a żadne powołanie jeszcze nie świeciło mu jasno na dalszą drogę życia. Co było począć? Z poezją w duszy biedny chłopak poszedł robić rachunki i siedzieć

w sklepie, którego drzwi mu przyjaciel dawny otworzył.

Strumisz mógł mieć lat dwadzieścia i dwa, ale wyglądał na nieszczęście tak młodo jeszcze, jakby nie doszedł drugiego dziesiątka. Cały charakter czytał się w jego postawie i twarzy. Wysmukły, cienki, niezmiernie zręczny i gietki: ruchy miał pełne szlachetności i wdzięku niemal dziewiczego, nogi kształtne, ręce formne i delikatne, twarz niezmiernie białą, jak zwykle u tych, którzy więcej siedzą w domu niż na powietrzu; aż do zbytku miał pleć świeżą, cerę panieńską. Wielkie oczy blado-niebieskie, włos płowo-błęd, usta smutne i zamysłone, rysowały typ młodzieńca północy, w którego rozwijaniu się pierwiastek dumy smutnej góruje a siła łpi jeszcze w głębi. Było to nosobienie cierpienia cichego, co patrzy cierpliwie na świat, czekając rychło kolej szczęścia i spoczynku nań przyjdzie. Ale w tych oczach niebieskich, które spoglądały z bojaźliwym jakimś rozczuleniem, połyskiwał rozum, mówiła z nich myśl. Czoło nad nimi rozpięte, jak biały namiot świeciło pogodnie, niemal wesoło. Cisza tego siedliska rozumu ledwie nie dziwiła przy łzawym wyrazie spojrzenia i ust; ale ta sprzeczność mówiła, że choć serce czuło, dusza wyżej stojąc wejrzeniem uragała się cierpieniu własnemu.

Bardzo skromnej postawy, grzeczny niemal do pokory. Strumisz zyskiwał serce ust nie otworzywszy, tak coś w nim było sympatycznego i niewytłómaczenie pociągającego. Nie jeden co się dziwił powszechnym pochwałom, któremi go obsypywano, co się oburzał na uprzedzenie z jakim młokosa przyjmowano wszędzie, uległ urokowi jego za pierwszym wejrzeniem.

Stanisław, który znał tę potęgę Strumisza, wiele na

nią rachował, prowadząc go do ojca, a przez drogę starał się wcześniej uprzedzić przyjaciela, by mu się żywy, porywczy, czasem nie nadto grzeczny, choć w gruncie najpoczeiwszy ojciec, zbyt dziwnie i straszliwie nie wydał.

• Zastali pana Erazma już niecierpliwącego się i chodzącego po pokoju, bo godzina ich przyjścia obiecanego już była minęła. Niemal gniewnie spojrzal na drzwi i zmierzyl oczyma przychodnia, a dojrawszy białej twarzyeczki, jasno-błąd włosów, niebieskich, powieką wypukłą pokrytych oczów, ruszył ramionami spoglądając na syna znacząco, jakby mówił, a cóż to mi za panienkę przyprowadziles?

Te pierwsze uprzedzenie znikło jednak powoli, gdy Bal ze Strumiszem mówić począł: dźwięk głosu, skromność wyrażenia, jakaś przyzwoitość i szlachetność postawy, zaczęły działać na kupca; czoło się jego powoli rozjaśniało — sprawa była wygrana. W dodatku ta okoliczność, że Strumisz nie wiedział swego pochodzenia i nie znał stanu rodziców, dwojako przemówiła za nim. Kupiec zlitował się nad sierotą i uparcie wyobraził sobie, że to koniecznie szlachciec być musiał.

— Szlachta powinna się trzymać, rzekł w sobie, powinna się podierać, wezmę go i pokieruję na człowieka. Tak tedy pan Jan Strumisz, za którego zresztą ręczył Stanisław i wszyscy co go znali, wszedł do domu kupca jako główny jego komisant i kasjer, jako prawa jego ręka.

W domu wszystkim się dosyć podobał, a trzpiot Lizia postanowiła go sobie rozkochać śmiertelnie. Postanowienie to bardzo zwyczajne młodym panienkom, które próbują sił swoich, nie miało zresztą nic innego

na celu, prócz milej i nauczającej zabawki.

Pani Balowa podobała sobie bardzo młodego, skromnego i przyzwoitego chłopca, a co się tyczy Erazma, który miał serce miękkie i przywiązywał się łatwo, wkrótce ukochał Strumisza po swojemu. tak, że gotów był za niego bić się i rąbać. Prawda, że też z nim poszło wszystko tak dobrze, łatwo, że pracował tak szczerze, sumiennie, jak nigdy nawet stary poczciwy Murzyński. Wiele rzeczy było do poprawienia, do wprowadzenia w karby, zaniedbanych, opuszczonych; wszystko to cudownie się jakoś urządziło. Strumisz był wszędzie; łagodnie, cicho, ale stale wykonywał co postanowił, nie rachował swych godzin, nie chwalił się trudem, nie przebaczał ani drugim ani sobie. Pan Erazm wejrzawszy w stan interesów, zdziwił się tem, co wykonane było w bardzo krótkim przeciągu czasu i uściśkał Stanisława za namiętność Jana, a Janowi niezmiernie wspaniale się wywdzieczył.

Szło tedy wszystko wyśmienicie, Lizia po cichu dokonywała także wielkiego swego zamiaru. W początku zalotność młodego dziewczęcia rozbiła się o zimną grzeszność Jana, ale mógłże tak wytrwać długo?

Nikt ze starszych i z otaczających nie dostrzegł nawet strategicznych manewrów Lizi. prócz jednego Stanisława. Instynkt sam wiódł tylko dziewczę — nie miała zajęcia, może jej się trochę ładny blondyn podobał, może potrzebowała się zabawić? Serce jej nie zapukało jeszcze w piersi...

Z położenia dwojga tych istot, łatwo doświadczenie wyprowadzić mogło wnioski, że miłość była nienchronna: ale któż kiedy przewiduje co podobnego, krom starych panien i starych księży, co gotowi są przypuszczać

wszystko? Strumisz w życiu się nigdy nie kochał, piękna jego twarzyczka nie jedno zwróciła oko, nie jedno wzbudziła dumanie, ale żadne wejrzenie, słowo nie ośmieliło go domyślać się, by mógł kogoś zająć. Miłość pojmował tak wzniosłe, tak idealnie, tak uroczyście, iż mu się zdało, że na jej przybycie we wszystkie dzwony na okolo uderzyć powinni, że świat się przystroi, że skrzydła mu wyrosną... Praca zresztą chroniła go od zbytniego dumania.

W pierwszych dniach spojrzał na Lizę, udającą doskonale największą względem niego obojętność, ocenił jej piękność, ale go nie uderzyła wcale; ona ze swojej strony trochę nawet przesadzonym sposobem nie patrzyła na niego. Zimna grzeczność Strumisza zaraz w pierwszych dniach oburzyła żywe dziewczę.

— Zapewne, rzekła przeglądając się w zwierciadle, bardzo dobrze robi, że nie śmie nawet się uśmiechać ani zagadać do mnie; zna jak daleko odemnie do niego, ale znowu czyż podobna abym żadnego na nim nie zrobiła wrażenia! O! zobaczymy! zobaczymy! Ci blondyni to wszyscy tacy! dodała, ale jeśli ma choć iskry uczucia, to ją w nim rozbudzę. A! jak to będzie zabawnie, kiedy zacznę wdychać. Oto się ubawię!

Manewry panny Elizy były nadzwyczaj zręczne i znamionowały już w niej niepospolitego taktyka; zaczęła od najdoskonalszej niemal wzgardliwej obojętności. Gdy ta najmniejszego nie wywarła skutku, powoli zmienił się atak wiedziony doskonałym instynktem. Przechodząc na mszę koło okna przy którym pracował Strumisz, albo koło sklepu, długo wkładała rękawiczki, mówiąc głośno do kogoś, ażeby uwagę jego zwrócić do siebie — spójrzała nań i jakby z niecierpliwością od-

wracała zaraz główkę. Często wchodziła o coś go prosić, krótko, rozkazująco, ale gdy usta mówiły łodem, oczy strzelały płomieniem.

Ale to wszystko nie na wiele się przydało, Strumisz się niczego nie domyślał, zbyt był dumny, żeby się chciał narażać, spiesząc sam przeciw młodemu dziewczęciu, zbyt nieczuwy, by ją myślał zająć sobą, zbyt wysoko pojmujący uczucie, którem na lada zalotne wejście szafować nie chciał. Długo a długo nadaremnie pracowała Eliza i chmurką pokryła się jej twarzyczka, tupiała nóżką, sam na sam będąc, powtarzając sobie:

— O! przysięgam, że go muszę rozkochać!

Nie mogąc nie dokazać pospolitą zalotnością, wzięła się do innej, bo ileż to jest jej rodzajów! Widziałem kobiety, co kaszlały w chęci zajęcia i podobania się i chorowały na piersi tylko przy tych, na których to pewne wrażenie zrobić mogło. Lizia bliżej poznając Jana, postrzegła rychło, że nie z pospolitym, łatwym do nwiedzenia miała do czynienia chłopakiem, że aby uczynić wrażenie na nim, trzeba było okazywać uczucie, nie piękne oczy szyderskie i dowcipne, które przstraszały choć pociągaly ku sobie.

Przybrała więc powoli, stopniowo minę smutną, poważną, zaprzętuioną, wejrzenie melancholiczne, chód mniej trzpiotowaty, głos cichszy i stłumiony; poczęła nawet zaczynać łagodne młodego człowieka nie okazując mu ani wzgardliwej obojętności, ani zbytęznego zajęcia. Trwało to nie wiem już jak długo, aż w końcu biedny Strumisz spostrzegł się niespodzianie, że w godzinie o której Lizia przechodziła pod jego oknem, oczy obracał oczekując na nią, że głos jej niespokojnym go robił, wejście do pokoju mieszało go... że.... słowem,

poczynano się w nim to niepojęte uczucie, którego po-  
ciski tyle mają w sobie skarbów cierpienia i skarbów  
rozkoszy. W pierwszej chwili po uczuciu tego sta-  
nowczego odkrycia, chciał zaraz usunąć się z tego do-  
mu, uciekać — ale nie znalazł w sobie siły. Pierwszy  
to raz śmiechał mu się świat, a biedny chłopiec pra-  
gnął tak nie wiele, jak zawsze u bram rajn stojący  
zakochany. Tylko ją widzieć, słyszeć szelest jej sukni,  
dźwięk jej głosu, zapach jej chwały... chwycić jej  
wejrzenie, słowo, uschły kwiatek, lub zdartą rekwizję.

Został więc, ale poprzysiął sobie, że uczucia które  
w sobie poznał, niczem nie objawi, że nie nawet starać  
nie będzie, by ta co je wzbudziła, mogła kiedy po-  
dzielić, poprzysiął, że miłość w nim i z nim umrze  
tajemnicą.

I tego słowa dotrzymać mógł, bo wiele uczuć skła-  
dało się na przysięgę. Tak więc Liza nie dostrzegła  
najmniejszej w nim zmiany, nie coby jej objawiło za-  
jęcie, i niepotrzebnie już wysilała się na schwytanie  
tego, który nóg jej leżał: a manewry coraz gorętsze,  
rozżarzały tylko w Janie miłość, już i tak w sercu je-  
go płomienistą, bo w sobie się pożerającą.

Dziwna to była miłość, skazana na wieczne mil-  
czenie, której nie wolno było ani się objawiać, ani ode-  
zwać, ani wyjść z ukrycia. Jeżeli czasem przemawiało  
oko, jeżeli zadrżały usta, lub ruch niezwykle zdradził  
chwilowo wielką tajemnicę, Jan zamykał się potem ka-  
rząc za słabość i nie wyszedł, póki walczyć z sobą nie  
zwyciężył wybijającego się uczucia. Z całego domu  
nikt tego wszystkiego nie postrzegał oprócz jednego  
Stanisława, który się oburzał na siostrę a żałował to-  
warzysza.

Ale Stanisław milczał, zdaleka tylko poglądając na wszystko; smutek Jana, jego częste znikanie, zamyślenia, objawiły mu nareszcie, że Liza zwyciężyła. Wiadział on, że ze strony siostry wszystko było załatwione; dziecięcą niemal, obawiał się uczucia głębszego w sercu przyjaciela, starał się wszelkimi siłami zapobiedz, by Liza nie zbliżała się do niego, niekiedy nawet ponętnie skarżył się przed Janem na trzpiotowatość siostry, ale nie więcej zrobić nie mógł i po długim rozmyśle postanowił milczeć.

Tymczasem Liza zawsze trwała w zamiarze rozkochania pana Jana, przysięgała sobie zemstę na jego lodowatą obojętność, a niedosłyszawszy jeszcze żeby westchnął na jej intencję, tem zapalczywiej pracowała.

Niezuważająca okoliczność zmieniła zupełnie ten stan rzeczy. Strumisz musiał wyjechać na dni kilka, pokoi, w którym mieszkał, kazala pani Bałowa bieleć i malować, rzeczy rzucono w kątek. Liza z ciekawością dziecięcia wpadła do tej izdebki, usiłując może ze sprzętów wyczytać charakter tego co ich nżywał. Że nie było nikogo, płondrowała jak myszka, gdy sama rządzi po spiżarni, rozrzucała książki, wyszukiwała papierków..., znalazła na stole powalanym atramentem cyfrę swoją kilka razy zarysowaną i zatartą. Oko jej przecie wyczytało ją choć z trudnością, znalazła gdzieś imię swoje, choć innym jakimś po wierzchu zmazane... Serce jej uderzyło... poczęła przewracać papiery. Jan, który całe życie nie miał się komu powierzyć nigdy, sierota, co się obawiał aż nadto może ludzkiego szyderstwa i serce zakrywał, pragnąc się wylać z uczuciami młodości, pisał. Nie wiedział biedny, że najstraszniejszym zdrajcą jest papier! Zdradza on głupstwo



Indzkie (świadkiem tylu pisarzy), zdradza ncznecia.... i myśli bez najmniejszej zgryzoty sumienia. Z teki Jana wyglądał właśnie rożek grubego zwitka zapisanych papierów....

Teka była zamknięta... ale papiery same się prosiły, żeby się z niej na świeższe powietrze wysunąć. Na rożku zaraz znalazła Liza więcej daleko niż szukała.... a gruby ów zwitek. zawierał całe dzieje biednego sieroty....

Nie powiem. że je przeczytała płocha dziewczynka, pożarła je, połknęła. całemi wierszami chwytając jednym wejrzeniem. Nigdy jeszcze nie czytała nie tak żywego, tak dotkliwie prawdziwego, i suchego jej oko, co łzy nie znało nigdy, o cudo! zwilgotniało. zaczęło się... Eliza tak była zajęta czytaniem, że zapomniwała o wszystkim co ją otaczało.., i nie wstała. aż póki nie dowiedziała się całych dziejów serca, walki ncznecia i tajemnic sieroty. Nie zastanowiła się nawet nad tem, że popołniła rodzaj kradzieży niegodnej. podchwytyjąc najświętszy skarb młodego człowieka, czyste i jak na spowiedzi szczere jego przed sobą zwierzenie...

W pierwszej chwili nczuła tylko słodycz swojego zwycięstwa, ale wszedłszy głębiej w ten zaczarowany gmach. zbudowany z tylu cichych łez, wspomnień i dum, w którego żadnym kątku nie było pyłku niebieskiej nadziei, obwiedziony kirem i poważną szatą męczeństwa i pracy, poruszyła się, zabiło jej serce, jakaś część mimowolna schyliła jej czoło; świat wydał się inny, nowy, pojęła jego stronę smutną, oblicze smutne a rzeczywiste, zobaczyła obowiązki święte i bój błogosławiony... Wstyd ją ogarnął, gdy spojrzała na swą słabość i postawiła ją obok powagi, obok wzniosłości

tego człowieka, który w jej oczach potężnie zolbrzymiał...

Wstała jakby pijana natłokiem myśli i uciekła do swojego pokoiku zawstydzona, upokorzona, prawie płacząca. Dziecię w niej ustępowało niewieście. Była to chwila stanowcza. Długo, smutnie myślała, bolała, na-  
zajutrz wyszła czegoś bledsza i smutniejsza niż zazwyczaj. Ale że często zdarzało się Elizie wdzięcznie i mi-  
luchno kaprysić, nikt na to nie zważał. Powoli wrażeń  
nie pierwsze, silne, zatarło się nieco, została z niego  
wyczerpnięta nauka, a trochę wesołości powróciło.

Jan przyjechał i nie znalazł jej zmienionej, bo Liza  
pomiarkowała, że nagle przeistoczenie byłoby ją wyda-  
ło. Przestała jednak prześladować młodego człowieka,  
bo się przełękała, poznawszy je bliżej, uczuć, z których  
sobie robiła igraszkę. Była dumna, ale zmieszana i  
niespokojną swoim zwycięstwem. Jan postrzegł tylko  
zmianę jakąś w postępowaniu Elizy, ucieszył się z niej,  
nie wiedział czemu przypisać i odetchnął:

— Przekonałem się, rzekł sobie, że ta zalotność do  
niczego jej nie doprowadzi; chwala Bogu! obawiałem  
się tego.

## ROZDZIAŁ V.

---

### Nie wychodzimy z tajemnic.

Naprzeciw domu pana Bala stała wielka bardzo kamienica, której dół zajmowali rzemieślnicy i sklepik jeden wytworniejszy nieco, a trzy piętra rozmaici mieszkający wszelkiego stanu i powołania. Właściciel jego tak się był urządził, widać z rachunku dobrze obmyśłonego, że całą kamienicę podzielił na wiele pomieszczeń małych, które mu stosunkowo więcej przynosiły niżeli rozleglejsze. Mieścili się tam więc po większej części ubożsi, a trzecie piętro i poddasze zajmowali nieszczęśliwi, którzy po miastach skazani są na tę niewolę pod niebiosami. Stanisław, dla którego wielkie ognisko w jakim żyć był zmuszony, stało się przedmiotem postrzeżeń i badań, często nie mając zajęcia, godzinami ze swego okna spoglądał na przeciwległe domostwo. Widział tam rozwijających się tyle nieznanych dziejów żywota ludzkiego, które wszędzie zarówno jest zajmujące, czy je studjujemy na śliskiej posadce salonu, czy na

zmarzłej podłodze poddasza. Dla niego każdy ruch mieszkańców kamienicy miał znaczenie, bo ciągłe badanie nauczyło go czytać w każdym kroku tych co ją zajmowali. Często przez szyby okien migające postacie opowiadały mu strapienia wczorajsze, niespokój o jutro, cierpienie teraźniejszości. Nie wiele lubiąc świata, z usposobienia skłonny do rozmyślań i śledzenia człowieka raczej w objawach jego codziennych, niż w tem, co je już martwo odbija. to jest w książce, Stanisław godzinami całemi lubił tak, zdaleka. obcy życin, daleki. wpatrywać się w jego dzieje.

Znał on już wszystkich co zajmowali rozmaite mieszkania w przyległym domu, i swary krawca z żoną na dole. i kwasy małżeńskie pierwszego piętra. obok hulauki ścianą tylko od nich przedzielonej a najczęściej doktorem się kończącej lub natrętnym wierzyicielem, i skąpstwo drugiego piętra, i różne zajęcia lokatorów trzeciego, i historją kanarka, którego klatka często się spuszczała z okna poddasza. — Cieszył się czasem zgadując szczęśliwie z pewnych prognostyków co jutro nastąpić miało, i niewinną tą zabawą długie do przebycia rozrywał chwile.

Jednego dnia wywieszona mała tabliczka oznajmiła mu, że z trzeciego piętra wynieśli się dwaj młodzi ludzie, co tam małżonką zajmowali izdebkę z komórką wychodzącą na tyły. — Że ci panowie bardzo wesoło schodzili z wysokości, bo jeden z nich dziedziczył podobno, a drugi los jego jako Achates miał dzielić, nie martwił się oddaleniem ich Stanisław, i owszem wywieszona tabliczka, zwiastująca mu nowy przedmiot do postrzegania, ucieszyła go nawet. Zdziwił się wieczorem bardzo, gdy powracając do siebie nie zobaczył

jej, a okna otwarte szeroko i krzątająca się w nich sluga właściciela domu dały my poznać, że już owa izdebka zajęta została. Dodajmy tu nawiasem, że rachunkowy ów posiadacz kamienicy miał osobliwsze szczęście. bo gdy u drugich tańsze i lepsze mieszkania stały po kilka miesięcy próżne, on nigdy nie tracił i dni kilku, choć cenić umiał dobrze to co najmował. Z niecierpliwością wyglądał Stanisław następującego poranku, ale nie rychło czegoś się potrafił dobrać. Okno mimo piekną porę było zamknięte, zapuszczone firankami i zielonym storem. Stróż domu powieścił, że wieczorem przyniesiono kogoś na noszach do kamienicy, a za chorym przyszła jakaś kobieta. Przez dni kilka Stanisław nic nie widział prócz zapuszczonej ciągle franki, którą kilka razy ładna kobieta poprawiła rączka. Zmudziła go w końcu ta uparta jednostajność i nie spoglądał już na trzecie piętro. gdy ranku jednego podniósł się stor, otworzyło okienko i śliczny w jego ramach ukazał obrazek. W dawnych flamandzkich często spotykamy podobne. Gerard Dow lubił okno. a wielu po nim naśladowało nienaśladowanego tego pracownika, co umiał pyły nawet powietrzne na płótno przenosić i nad jedną miotłą stojącą w kącie trawił całe miesiące, ale też miotle dał życie i nieśmiertelność.

Okno obwieszone było małym dywanikiem, leżała na nim poduszka, na niej sparty był błądy, schorzały, ale prześlicznej twarzy smutnej starszek sześćdziesięcioletni może. Siwy włos jego jęłowabna mała przykrywała czapeczka. Wychudłe białe ręce złożone jak do modlitwy leżały, tylko co przestawszy może liczyć różaniec. Obrócony był na ulicę i patrzył na nią z zajęciem tych, co nie biorąc udziału w ruchu i wirze ży-

cia, jemu go trochę zazdroszcza. — Tuż, schylona troskliwie, osłaniająca go jeszcze od powiewu wiatra, który poruszał firankę, stała prześliczna młodziuchna kobieta, blada także niepokojem może, z czarnemi oczyma wlepionemi w starszka, z wejrzeniem córki, którą uczucie przeistacza w matkę z dziecięcia. W ręku jednym trzymała kubek, który musiał zawierać lekarstwo, drugą otulala go powolnie, miękko, ostrożnie.

Starzec obrócił się ku niej z wyrazem wdzięczności i przywiązania, zawahał i wypił co mu podano, a dziecię uściskał długo, jakby się od niego oderwać nie mógł.

Stanisław był zachwycony tym widokiem, którego i wdzięk plastyczny i piękność moralną ocenił. A ileż to myśli nastreczał. Na pierwszy rzut oka było zaraz coś nieodgadnionego w tem wszystkim. W ubogiej izdebce trzeciego piętra ten dywanik wschodni, ubior starego, jedwabny szlafroczek panienki, na wiele doprowadzały domysłów. — Twarze lokatorów nawet nie zgadzały się z ramami, w jakie je los oprowił. Znać nagle zmiana jakaś wygnała ich aż tutaj, z resztkami dostatku którym jeszcze w dotkliwszą nędzę nie przeszedł, w nędzę co do ostatniego łachmana i do najdroższej zabiera pamiątki nienblagana, wszystko. Smutnie zamyslił się nad tem Stanisław, serce mu zabiło, tajemnica ta więcej niż kiedykolwiek zadanie podobne, podnieciła jego pocziwą ciekawość.

— Jakaż to historia ukrywa się w tem oknie otwartem? zapytał siebie, jakie tu życie poczyna się, jakie kończy? Co znaczy to spokojne prawie oblicze starca i smutna twarz kobiety? Jaka tam przeszłość po za niemi? —

Zrazu piękna postać bladej nieznanajomej przyłożyła się także do wzbudzenia zajęcia w Stanisławie, ale to pewne że patrzył długo, że nie postrzegł jak żona krawca zatrzasła drzwi za mężem, aż dwie w nich szyby pękły, i jak na pierwszym piętrze przeleciały dwa białe widma mimo okien i jak się klatka z kanarkiem spuściła z poddasza. Po godzinie przecie milczącego spoczynku w oknie, starzec wstał z pomocą swej opiekunki, podniósł się z ciężkością, a po chwili i okno się ostrożnie za niemi zamknęło i firanka biała na nie zapadła.

Stanisław przez dni kilka szczególniejszą zwracał uwagę na nowych mieszkańców malej owej izdebki, ale nie wiele z ich życia potrafił pochwycić. Chowalo się ono przed oczyma ludzkimi, jakby wejrzenia ich lękać miało powody. — Okno samo rzadko się już kiedy i na krótką odmykało chwilę. czasem podniosła nieco firanka, przemknęła piękna dziewczęca postać, a starzec nie pokazał się więcej. Zobaczył tylko Stanisław przechodzącego kilkakroć doktora, który widocznie na trzecie piętro był wzywany. Był to jeden z tych lekarzy wysoko pojmujących powołanie swoje, którzy tylko do ubogich chodzą, sami ubóstwo przenosząc nad dostatki i o grosz się nie starają. Znal go młody człowiek dobrze, bo go wszyscy znali w Warszawie i korzystając z tej zrzeczności, postanowił zapytać o sąsiadów. Schwytał go więc w ulicy i nie obwijając wcale ciekawości swej, wprost zaczął:

— Powiedz mi doktorze, któż to jest ten starszek przez ulicę, do którego od niejakiego czasu chodzisz?

Doktor się uśmiechnął smutno spoglądając na Stanisława. — Czy o starego się pytasz tylko? rzekł po-

wolnie zażywając tabaki.

— A o kogoż myślisz?

— O młodą może! figlarnie odparł konsyljarz.

— Alboż myślisz że ten stary, siwy staruszek zając mnie nie mógł?

— Gdzieżeś go widział?

— W oknie. Któż to prosię cię? Wszystko powiada, że to jakaś smutna historia upadku...

— Na ten raz zgadłeś kawalerze... W istocie, znałem go w lepszym bycie. Był to człowiek bardzo nawet majątny, ale nieopatrzny! Stracili wszystko! Jeszczeć jemu nie długo się męczyć, ale wnnoczce biednej, która nie ma na świecie tylko jakichś dumnych, im niechętnych krewnych, a i ci daleko...

— Więc to jego wnneczka?

— Panna Konstancja jest jego wnneczką...

— Któż on?

— Dawniej bardzo zamożny obywatel z Chełmskiego, piękne imię, starożytna familja... nieszczęściem prócz niego jednego, więcej tam dumy i chciwości w tym rodzie, niż czego innego. Jedli się wszyscy, procesowali i pojedli. Biedny podstoli stracił zbytkiem dobroci i zbiegiem okoliczności jeden z najżyźniejszych swych majątków hrubieszowskich. Teraz goni ostatkiem dostatku, nie wiem czy mu co pozostało prócz spraw. Biedny fantuje się już czekając wygrania procesu, któren wygranym być nie może.

To mówiąc doktor ciągle spoglądający na zegarek, bąkający po słówku dosyć niechętnie, uklonił się Stanisławowi i odszedł, zostawując go zamyślonym i tęsknym. Mnóstwo rzeczy chciał się dowiedzieć od doktora, ale ten z natury był milczący i spełniał swe powola-



nie, sam ledwie wiedząc kogo leczył; trzeba było gdzieś indziej szukać szczegółów o starcu i pięknej Konstancji, jego wnuczce.

W kilka miesięcy potem, przez ciąg których Stanisław z oka nie spuszczał zajmującego go okna, doktor przesiedział noc całą u podstołego, — starzec miał się gorzej.

Z po za firanki widać było światło do rana i cienie po niej przebiegały co chwila. Nad rankiem okno było otwarte... w ciemnej izdebce palily się cztery świece woskowe — stary już nie żył.

Wedle zwyczaju Stanisław pobiegł odwiedzić ciało... cisnęli się tam tłumnie ciekawi.

Na tapczaniku wysłanym tym samym dywanikiem, który raz pierwszy otwarte okno okrywał, leżał bez trnmy jeszcze, blady, wychudły starzec w czarnym kontuszu i różowym wyblakłym żupanie; ręce miał złożone jak do modlitwy a w nich stary krucyfixs drewniany z brązową figurką Zbawiciela. W kącie izdebki klęczała płacząc i zachodząc się od łez Konstancja, a przy niej litościwy stał doktor.

Stanisław ledwie miał czas pomodlić się u ciała, tak mu było pilno do lekarza, którego zaraz do sieni odciągnął.

— Słuchaj, rzekł mu po cichu. Stary umarł, wnuczka jego jest sierotą, co poczniesz?

— Bóg jeden wie, nie mogę z nią mówić o tem...

— Ale jej nie opńścisz...

— Jeśli potrzeba będzie, wezmę ją do siebie...

— Patrzałem długo, dodał ze wzruszeniem Stanisław, na ich niedolę, żał mi serce ściska; jeśliby co na pogrzeb, na pierwsze potrzeby brakło, mam grosz

zaoszczędzony, proszę cię, weź go doktorze...

Lekarz spojrział tylko i głową pokiwał dwuznacznie.

— Odemnie. szybko dodał Stanisław, dar podobny nie może być przyjęty, ludzie by mogli niegodnie tłómaczyć, weź i rozporządź tem, nie mówiąc od kogo...

To rzekłszy Stanisław, prawie ze łzami w oczach oddalił się, silnie poruszony widokiem, który nie wiedzieć dlaczego więcej go obchodził niż zwykle śmierć, powszedni gość w miście. — Codzienne wpatrywanie się w to okno, zjełoczyło go z łosiem tych dwojga ludzi, przywiązało do nich. Konstancją widział bliżej parę razy i twarz jej, postawa, wyraz męskiej prawie siły w czarnych oczach, zostawiły po sobie niezatarte wrażenie. Był to rzadki ideał niewieści, kobieta z wdziękiem płci swej właściwym, a potęgą charakteru i woli wyrytą na czole, które błyskało myślą wzniosłą i poetyczną. Taką musiała być Judytta, gdy szła strojona głowę Holoferna. — Coś heroicznego i poszanowanie obudzającego otaczało ją jak aureolą; broniła jej powaga. Wzrok zuchwały zdaje się tknąć jej nie mógł, a słowo szyderskie nie doszłoby jej uszu.

Taką widział ją Stanisław w bliskim kościele płaczącą na modlitwie, ze wzrokiem wlepionym w krzyż, i nie oprócz krzyża nie mogącym zobaczyć. — Od nikogo prócz Boga nie pragnęła litości, od nikogo prócz siebie pomocy. Znać było, że na Opatrzność i na siły które jej da rachowała.

Błada, wysmukła, czarnooka i czarnowłosa, w rysach twarzy miała typ arystokratyczny, ale podniesiony do ideału. Zwykle twarze, które zgodzono się do tej klasy odnosić, są chłodne lub szyderskie, regularność rysów przechodzi prawie w martwość posągu. Tu wielka po-

waga i wzniosłość łączyły się z uczuciem wielkiem, słodziła je dobroć i zastępowała dumę. — Spojrzenie jedno pozwoliło się domyślać całej krótkiej młodości (nie miała bowiem lat dwudziestu), spędzonej w upalach cierpienia. co tak szybko dojrzałość ludzi przyspiesza. Znać było i wykształcenie malujące się zawsze na zewnętrznie w jakimś wdzięcznym układzie, i myśl rozwiniętą co patrzy przez oczy, i walkę z losem upartą i niezmiennie postanowienie niepoddawania się nie-szczęściu. Czarne jej oko oprawne w powiekę wypukłą, brew narysowana silnie, nosek kształtnie wycięty, usta malutkie i wazkie, miały w sobie coś tak niepospolitego i zastanawiającego, że każdy na nią zwracał wejrzenie, dziwiąc się skromnemu ubraniu przy królewskiej twarzy.

Stanisław wszedł poruszony i lzy kręciły mu się w oku. Chciał był tam pozostać, ale się oburzał na posadzenia które go spotkać mogły... obcy, jakież miał prawo w cudze mieszać się losy? Widział tylko przez okno jak wyprowadzano ciało. jak splakana jeszcze, mężnym krokiem wyszła za skromnym wozem wnuczka i poprowadziła do mogiły ostatniego opiekuna.

Wieczorem izdebka była pusta, okno szeroko otwarte, we trzy dui palił w niej fajkę Niemiec, który się tam przeniósł i już jakiś warsztacik ustawił.

Stanisław nie śmiał się pytać doktora, co się stało z Konstancją, choć wspomnienie jej żywo go jeszcze zajmowało, minęło parę tygodni, spotkali się trafiańkiem z lekarzem.

— Bądź-że spokojny o swoją sąsiadkę, rzekł lakoniczny lekarz — wszystko się jakoś dało urządzić o ile można było najlepiej....

— Zapewna odjechała do krewnych?

— Nie — chcieli się nią zaopiekować, ale z nieziwiedną nie przyjęła dobrodziejstwa tych, którym przypisywała nieszczęścia dziada. To kobieta jakiej w życiu nie widziałem.... Charakter niesłychany, stworzona na mężczyznę. Wystaw sobie, dobrowolnie poszła służyć.

To mówiąc doktor spojrział na zegarek i odszedł. Nie rychło przypadek znów odkrył Stanisławowi mieszkanie Konstancji i zbliżył go do niej. Nie wiele bywał po swoich znajomych i potrzeba było przynaglenia ojca i matki, żeby go trochę na świat wyciągnąć.

Do liczby dawnych przyjaciół Bałów należała rodzina Krombachów, od wieków osiadła w Warszawie i bardzo zamożna. Były ich trzy czy cztery pokolenia pod jednym dachem patryarchalnie żyjące, co jest może największym dowodem umiejętności życia i stanowczą próbą charakterów, taka zgoda nawet między bardzo pocziwymi ludźmi, w codziennych zetknięciach zostających, jest rzeczą nie łatwą. Najstarsi Krombachowie, dziad i babka mieszkali na pierwszym piętrze, obok nich starzy Krombachowie z mnogimi dziećmi. Młodzie stósunkowo tylko mogli się tak nazywać, gdyż Artur liczył lat czterdzieści, a Arturowa z górą trzydzieści. Sześcioro dzieci już po części dorosłych, obiecywało długie jeszcze lata pocziwej familji. Przy dwojgu to młodszych znalazł Stanisław nauczycielką pannę Konstancję. On dla niej był całkiem nieznanym, bo nigdy oczów na żadne okno nie podniosła sierota i ledwie umiała rozpoznać tych co ją otaczali; jakież było jej podziwienie, gdy bliżej poznając Stanisława dowiedziała się od niego, że najdrobniejszy szczegół jej życia przy podstolim nie był mu obcy.

To zajęcie jakie wzbudziła, współczucie pełne uszanowania, które jej okazywał Stanisław, przywiązało do niego Konstancję. Uważała go za przyjaciela, którego los jej dał w nieszczęściu. Myliłby się, toby uczucie tych dwojga serc młodych nazwał miłością, było ono tak dziwne, tak nowe, że na nie nowego by imienia potrzeba. Poczęło się czułą przyjaźnią, w którą się żadna myśl namiętna nie zakradła, spokojnem, ale ręczącem za przyszłość przywiązaniem. Oboje młodzi i potrzebujący wylać się, zaufać, powierzyć, znaleźli w sobie brata i siostrę. A jednak Stanisław był dla niej więcej niż bratem, ona dla niego więcej niż siostrą. Serca ich tak się doskonale, tak łatwo rozumiały, że nigdy na chwilę nie zwątpiły o sobie, nie potrzebowały się spytać, upewnić. Stanisław wkrótce powiedział w duszy, że nad nią nie potrafi kochać innej, ani żyć z inną, i postanowienie to ciche było niezłomnem; ona zaledwie mogła przyrzec przed sobą, że nie zapomni nigdy pierwszej obcej dłoni, co się tak ku niej przyjaźnie podniosła.

Widywali się rzadko, zawsze w salonie przy gościach, stosunek ich był poważny, na oko nie uderzający, a jednak wzbudzał już szept. Stanisław musiał często wstrzymywać swe odwiedziyny u Krombachów, żeby nie dawać powodu do posądzeń. Ale codzień było to dla niego trudniejszem, bo co chwila większą czuł potrzebę być z nią razem, chociażby ją zobaczyć, by smutny tylko jej uśmiech unieść z sobą w pamięci.

Tak w ciszy rosła ta dziwna miłość odarta ze skrzydel i pochodni, w białej sukience dziewiczej i wianku zielonym na skroni, a ludzie co przywykli do innej, już jej wkrótce nie nazywali tem imieniem. Nikt się

zresztą nie domyślał jak była wielką, głęboką i potężną.

Kochankowie nie mówili o niej nawet, bo się im zdawało, że czczemby było słowem wymieniać uczucie, które tak silnie tłumaczyło się najlżejszym ruchem, najprzelotniejszym wejrzeniem.

---

## ROZDZIAŁ VI

### Zapach Złotego Jabłka. — Targ o pana Bala.

Jednego wieczora! pan Erazm Bał siedział trochę zakatarzony w swoim pokoju, dasając się na doktora, co mu wychodzić zakazał przez trzy dni i liczył godziny pozostające rekluzji niezmiernie go męczącej, gdy złowroga twarz pana Zrębskiego ukazała się przez drzwi pół otwarte.

Nigdy też pożądanym nie był, miał przed kim nałajać doktorów, kogoś co mu posłusznie potakiwał, dawał się gniewać na siebie i przepraszać najłatwiej; zerwał się więc z krzesła, wołając:

— Chodź! chodź! Zrębsin kochany! siedze jak w klasztorze! wszak to już trzeci dzień ten głupi katar mnie tu trzyma! Ale i doktor nie lepszy, bo nie ma jak świeże powietrze na takie choroby... A poradź-że z doktorem, kiedy z żoną w spisku.

— Ściele się do stopek pańskich, rączki Jego całuje! odezwał się wsuwając po cichu i skrętnie drzwi za-

mykając adwokat, od którego silnie anyżówki zapach rozszedł się po pokoju. — O! nieszczęście! wszak to pan dobrodziej nie zdrów!

— Gdzie tam! Zrębsiu kochany! jak ryba, bijąc się po brzuchu, podchwycił kupiec — już dziś chwala Bogu dzień ostatni tej męki. Dałem słowo, dotrzymać musiałem. *Verbum nobile*.

— *Debet esse stabile*, dokończył patron ponawiając ukłony do samej ziemi, a oczyma latając po kątach.... O! bo by też nie potrzeba chorować.

— A katby tego chciał! szybko krzyknął pan Bal uradowany widocznie przybyciem adwokata... Bałowie ogólnie byli zawsze wielkiego zdrowia i... jakże to po łacinie długoletni?

— *Longaevi*, podszepnął pan Zrębski.

— Właśnie chciałem mówić, że *longaevi*, rzekł Bal, kronika familijna cytuje Macieja kasztelana Sanockiego, który żył lat sto pięć; siostra jego co była za Ulińskim, umarła mając lat dziewięćdziesiąt dziewięć; Piotr Podkomorzy Sanocki, co się pisał z Hoczwi na Balogrodzie, słynny swem nawróceniem na wiarę przodków z błędów genewieńskich... umarł przeszło wiekowym...

— Co daj Boże i pauu dobrodziejowi, przerwał dalszego obawiając się rejestru Zrębski.

— Zdrów jestem jak kłoda dębowa, odrzekł pan Erazm, lekarstw żadnych nie brałem, młodość spędziłem uczciwie... żyję trzeźwo. No! ale co tam słyhać?

— A cóż, nowin żadnych...

— W miasteczku naszym, nie? bo to ja trzy dni nie wychodziłem... nic nie wiem.

— Paliło się wczoraj na Bednarskiej...

— Z czegoż to poszło? z komina pewno! oj! ci ko-



miniarze.

— Bóg wie! prawdy nie dójść, ale trafny jest domysł pański, że pewnie z komina, chwytając sposobność przypochlebiania się, rzekł Zrębki.

— Więcej nic?

Adwokat się zamyślił, a z pod brwi tchórzowate, badawcze rzucił wejrzenie na kupca, jakby próbował gruntu, na którym miał począć budować. W tej twarży chytrej, a podłej, błyskała jakaś żądza niecierpliwa, którą strach tylko hamował, miał wyraz gracza, co na kość ostatnią rzuca grosz pozostały. Jedyłą nadzieję.

— Pan dobrodzieju, rzekł cicho i powolnie, zawsze trwasz w myśli nabycia majątku ziemskiego?

Bał się zastanowił, chwyciło go to nieprzygotowanego.

— Albo co? — pytał — jużciż kilka razy miałem ci zreczność powiedzieć, że to jedyné moje życzenie. Rodzina nasza zawsze wiejskiem przywykła oddychać powietrzem, byliśmy gospodarze, hreczkosieje. Dopiero głupstwo Stanisława z Hoczwi Bala (który zresztą był wielkiej głowy człowiek, dodał poprawiając się pan Erazm) i niepotrzebne chwycenie się nowinek zapędziło nas do miasta, bośmy od Jeznickich prześladowań uciekać i kryć się musieli. Stanisław był właśnie wspomnianego Piotra Podkomorzego ojcem... Ale dla czegoż się pytasz?

Zrębki wstał poważnie, tajemniczo, obejrzał się jakby na wylot ściany chciał oczyma prześwidrować i zbliżając się do pana Bala, który niezmiernie temi przygotowaniami zaintrygowany szeroko usta otworzył — odezwał się zniżając głos:

— Trafia się zrzeczność jedyna. na jaką wieki czekać potrzeba.

Radość błysła w oczach kupca, który ręce zatarł i Zrębskiego jak piłkę porwawszy posadził przy sobie, sam się przysunął do niego tak, że tylko co nie usiadł mu na kolana i zbliżając się jak mógł najszczelniej, nagotował słuchać. — No, gadaj-że, nie marudź, wiesz żem gorąco kąpany.

— Ekstraordynaryjnym wypadkiem, poczał szeptać patron z miną niezmiernie sfinksową, dowiedziałem się o dobrach, które są za bezcen na sprzedaż... Ale sza! jest to gratka osobliwsza! Czyhają już na nią ludzie.

— Słuchaj! krzyknął Bal, ściskając go za rękę żywo. nikomu ani słowa, ja kupuję.

— Znasz waćpan dobrodziej moje przywiązanie do osoby jego, ciągnął dalej Zrębski, jakem się tylko dowiedział, chwili nie tracąc tu przyleciałem, bo interes zwłoki nie cierpi! A już ludzie wachają! Powiadają panu zrzeczność jedyna, na jaką wieki czekać potrzeba. Aż mi serce zabilo myśląc, że się memu najlaskawszemu dobrodziejowi przysłużę i odsłużę.

— No! ale gadajże, co to? gdzie to? prędko! prędko! niecierpliwie podchwytywał Bal, kto sprzedaje? jaka cena?

— Gdybyś waćpan dobrodziej miał troszyneczkę cierpliwości....

— A kiedy jej nie mam, to co? rzekł pan Bal, gadaj a prędko.

— Ale to długa historia.

— To ją skróć do licha!

— Pan nie rozumiesz, jeśli ją obetnę...

— No! to gadaj już jak chcesz, a poczynaj, bo od

czasu jak się sprzecamy, jużby jej połowa przeszła, a ja czekać nie cierpię...

— Przybył temu już miesiąc do Warszawy jeden pan z Wołynia...

— A i dobra na Wołyniu! krzyknął Bał, to to w sąsiedztwie z Rusią, z której pochodzimy!

— Zaraz pojedziemy do dóbr. Jest to człowiek wielkiej bardzo familji... Hrabia!

— Hrabia! ps! krzyknął Bał...

— Hrabia Jan Bracibor Sulimowski.

— To i herbu Sulima, mruknął Bał, pewnie.

— Tandem, jak się to hrabiom trafia, zabrakło mu pieniędzy, a ma tu proces, który nie cierpi najmniejszej zwłoki; starania, koszty... Wczoraj uradzili z adwokatem. iżby salwując tu wielkie majątności, które wygrywa w Polsce, z obowiązkiem spłaty natychmiast, sprzedać jeden klucz wołyński.

— A ten bestja ma i więcej kluczków?

— O! kilka! Ogromnie bogaty człowiek i naturalnie, że nie wiele dba czy co straci, a pilno mu, bo na drugim zarobi... więc gratka doskonała..... Sprzedadzą tanio! znam jego adwokata... to mój przyjaciel stary... mówił mi *sub rosa*, że to złoty interes...

— Ale jakże do niego przystąpić? zrywając się rzekł Bał, poszedłbym zaraz...

— A! zlituj się pan, mitygując go przerwał Zrębki, w tym interesie potrzeba jak największej ostrożności, przebiegłości, przygotowań. Muszę najprzód obmacać wszystko... umówić jego adwokata, wysondować dobrze, a dopiero do gotowego już pan dobrodziej przyjdiesz. O ile mogę sądzić, to za bezcen... Ale intrygi będą.

— Intrygi? powiadasz, uiespokojnie rzekł pan Bał.

— Nie bez tego, cicho szeptał kiwając głową i żywając powoli tabaki adwokat... Wszystkiemu jednak damy rady z pomocą Bożą.

— Więc mi dajesz słowo, gorąco za rękę chwytając i rozsypując tabakę przerwał kupiec.

— Panie dobrodzieju! godziź się to wątpić o mnie! o mnie, co krewbym dal za niego?

— Pocziwy Zrębsiu! ściskając go namiętnie ze łzami w oczach krzyknął Bala... ja ci sie wywdzięcze! zobaczysz! A! to ty nie wiesz, dorzucił, to moja manja, to mój sen kupienia dóbr i na starość spokojne, ustronne, wiejskie życie. Zawsze do niego wzdychałem, do zagrody przodków, do cichego dworku wioski. Porzucę to miasto smrodliwe...

Wśród deklamacji pocziwego pana Erazma, który się unosił malując słodczye żywota wiejskiego, oczy pana Zrębskiego zapaliła iskra jakaś przelotna szyderstwa, która zaraz zagaśla.

— O! nie ma jak życie na wsi, wśród tego pocziwego ludu naszego, podchwycił sentymentalnie stary, ale nie każdemu Bóg dał to szczęście.

— A wiesz co Zrębsiu, zawołał Erazm, jak tylko dobra kupimy, biorę cię z sobą, dam ci domek, będziesz sobie przy mnie mieszkał i....

Zachmurzyło się trochę czoło starego filuta, który widać wcale miał inne rachunki i nie myślał się przypatrywać szczęściu pana Bala w jego dobrach, spuścił głowę, westchnął głęboko.

— Co by to było dla mnie za szczęście, rzekł, ale... chciałoby się duszy do raju, grzechy nie puszczają! Samo codzienne oglądanie pana. którego tak czczę i wie Ubie, jużby stało za wszystko... ale... mam ja tu..

obowiązki... mam pęta co mnie do bruku krępują...  
jestem do niego przykuty...

— O! o! to się obełwiemy Zrębsiu!

— Ja! nie! niestety! nie! rzekł adwokat, nie ma co i myśleć o tem. Ale byleś pan dobrodziej był szczęśliwy, moje brzemię mi lżejszem się stanie.

— Postaramy ci się je ulżyć, dodał Bał, a teraz mów no co, jak to będzie, jakie masz projekty? co za cena dóbr? rozległość, szacunek?

— O tem dziś jeszcze mówić nie mogę, rzekł tary, ale jutro doniosę, spodziewam się ze szczegółami. Do hrabiego Sulimowskiego przystęp nie łatwy, wielki pan, dumny, kapryśny... pełno ceremonji. Ja tam nawet i nosa nie pokażę, wszystko muszę robić przez swego przyjaciela.

— A więc jutro mówisz?

— Spodziewam się że jutro.

Bał ręce zatarł i uśmiechnął się do siebie.

— Jeszcze tylko przestroga dla ostrożności wczesna, przysuwając się i szepcząc na ucho tajemniczo, rzekł Zrębski. Wie pan że najdostojniejsza żona jego i familja dosyć są tym projektom przeciwnie, niech się pan zawczasu nie wygaduje.... bo będą forsy. Kto wie? gotowi pana zastraszyć, skonwinkować, a ja jak rozpocznę kroki, wielebym stracił w opinji, gdybym do zawodu mego przyjaciela doprowadził. Gdyby pan się zrzucił, drudzy by to wzięli za powód znizienia ceny.

— Rozumie się. cicho! sza! wytrzymam! bijąc się w piersi zareczył kupiec, ja zawodu nie zrobię. Staraj się jak można i rachuj na mnie. Prawdziwie Opatrzność mi to zsyla. O! to będzie figiel Ludwisi, jak jej powiem: Witam dziedziczkę... Ruszajże i rób co tylko

można... a prędko.

Zrębski nie czekał więcej, pochwycił czapkę, kij, sklonił się niziuteńko i wychodząc już, szepnął na ucho panu Balowi, który pływał w obłokach różowych marzeń.

— Jeśli się to uda, będziesz pan miał *złote jabłko*!

— Złote jabłko! złote jabłko! powtórzył machinalnie, wielkimi krokami mierząc pokój pan Erazm. A sama wieś to już szczęście! Poeci znają się na takich rzeczach, a nie ma poety co by wsi nie opiewał! Kochanowski, nikt nie zaprzeczy, człęk z głową, napisał te słowa: wsi spokojna, wsi wesola! Cnota na wsi, szczęście na wsi, wszystko na wsi, a w mieście błoto i utrapienia! Wyjedziemy tedy na wieś, marzył dalej, wszyscy a wszyscy; odetchnę ja tem powietrzem orzeźwiającem, spocznę; Ludwice nawet na jej słabe piersi to posłużą. Trzpiotek mój. Lizia, znajdzie tam sobie jakie hrabiątko, co się z nią ożeni! Balowie nie dziś z pierwszemi w kraju domami połączeni; pochodzim od książąt Massagetów! to ludzie wiedzą. Stanisław weźmie jaką golą mitrę, a gdyby chciał. mógłby i z picniędzini, ale to głowa romansowa!! Przyjadę potem do Warszawy pokazać ludziom co z nas będzie! O! o, wszystko z siebie zrobić potrafię! Będę gospodarzem! Będę panem dobrym dla ludzi — będę sąsiadem serdecznym dla panów szlachty! potrafię i z magnatami, Balowie się z tem znali!

Na te rozmyślania, które mu twarz rozpromieniały, weszła pani Balowa ze swą spokojną a smutną postawą, chcąc spytać o zdrowie męża, który podskakiwał po pokoju; zdumiała się trochę, choć te wybryki bardzo się przytrafiały panu Erazmowi. On się odwrócił do niej z uśmiechem szczęścia na twarzy.

— Dobry wieczór mojej kochanej Ludwisi! katar poszedł na cztery wiatry! Jutro z domu wychodzę.

— A nie lepiejby się zastanowić? spytała żona troskliwie.

— Zmiluj się królowo, nie szanuj mnie tak bardzo, bo jak pies przywiązany do budy zdechnę. Mnie trzeba powietrza... Tu ten twój doktor nie wiedzieć gdzie wyczytał, że zamykać trzeba zakatarzonych; fałsz wierutny! na to nie ma jak wolna aura.

— Ale jakże ci jest?

— Doskonale! zdrow jestem jak ryba! szczęśliwy!

— Więc się nie znudziłeś przecie?

— A! miałem i gości.

— Kogo?

— Starego pocziwego Zrębskiego.

Ten przymiotnik tak się zdawał niestosowny samej pani. że z widoczną intencją zamilkła.

— Ja go bardzo lubię! dodał Bał, a kto wie? ale sza! i zatulił usta rękami.

— Cóż to? tajemnica jakaś?

— Nie, nie!

— W istocie. uśmiechając się dodała żona, gdyby jaka była, nie łatwo ci się z nią przyjdzie ukryć przy twojej żywości.

Postrzegłszy się, że i tak zanadto powiedział, pan Erazm do siebie się tylko uśmiechnął i na tem skończył rozmowę, obawiając sam siebie.

Tymczasem pan Zrębski wyszedłszy z ulicy Bielańskiej, szybkim krokiem pędził na róg Daniłowiczowskiej, do swojego szynku.

W drugiej izdebce przy małym stoliku, na którym stała butelka wina napoczęta, siedział sam jeden (gdyż

reszta gości w pierwszym pokoju uwijała się około bialdaru, mężczyzna lat średnich, zamyślony, bijąc palcami po tabakierce, którą się bawił. Odgłosy i wrzawa dochodzące z pierwszego pokoju, nie przerywały mu głębokiego zamyślenia. Był to człowiek nie młody, ale silny i zdrowy, z twarzą bladą, ogoloną zupełnie i krótko postrzyżonym włosiem. Oczy małe i wklesłe, nos trochę rozpląsnięty, czoło niskie, pomarszczone, nadawały mu wyraz zarozumiałości bardzo uderzający. Znać było w nim przywyknienie do rozkazywania, pewność siebie i ufność we własnym rozumie. Ubrany czarno, nie raczył zdjąć z siebie płaszcza, który go okrywał, i siedział jakby tylko zmuszony pozostać, czasami na drzwi się oglądając, z oznaką widocznej niecierpliwości. Gdy na progu ukazał się Zrebski, z czapką pod pachą i ukrytym w wąsach uśmiechem załowolnienia, gość ów odwrócił się ku niemu i zapytał: No! a cóż?

Zrebski spojrzał razem na niego i na butelkę, do której się zbliżył chciwie, a ten mu ją ze wzgardą prawie podsunął.

— Wszystko dobrze, rzekł, pójdzie jak z płatka; obejrzał się i napił. Bał zawsze trwać w tej myśli jakiem zaręczał; wiem że gotówkę ma, że mnie gdy mu co powiem święcie uwierzy. Można więc ze mną uważać rzecz za skończoną; ale teraz, rzekł uśmiechając się i oglądając, musimy pomówić o warunkach.

Mężczyzna naprzeciw siedzący zdawał się ze wstrętem przystępować do rozprawy ze Zrebskim i wzdychał zmuszony do niej.

Słówko o nim jeszcze.

Był to prawnik także, pan Joachim Goral, który sobie sławę zjednał przed laty wygraną procesu P....



uważanego za stracony. Odtąd uchodził on za najbieglejszego w swej sztuce i miał zajęcia do zbytku, ale przyjmował tylko znaczniejsze sprawy i przez to stanął w wyższej sferze towarzyskiej, do której usiłował się przywiązać.

Co się tycze talentu, tego mu nikt odmówić nie mógł; miał pojęcie rzeczy łatwe i jasne, wymowę obfitą i zręczną, wielką znajomość środków i prawa, ściśle biorąc był, a przynajmniej okazywał się uczciwym człowiekiem, ale regułą jego główną było nie dać się na niczem schwytać: po cichu przypuszczał, że godziło się sobie pomódz czem było można. Ilekroć posłyszał o kim, co się postępkami niekoniecznie prawym spłamił, zwykł był zawsze wykrzykiwać z wzgardą: Jak się można tak dać złapać! co za niezręczność!

Słowem. Goral był jednym z najpospolitszych w świecie typów: człowiekiem pozoru; — a że takt i rozum dopomagały mu szczęśliwie do zachowania zawsze pozornej pocziwości, używał też sławy nieposzlakowanej. Ci na których korzyść użył środków dwuznacznych, nigdy o nich nie wspominali, przeciwnicy tajemnicy ich zręcznie uwiniętej zbadać nie mogli.

Znać było z obejścia ze Zrebskim, jak dalece za wyższego uważał się Goral, ile go kosztowało zbliżenie się do niego. To też nigdy z tym swoim posługaczem, którym zwykł był zmiatać wszystkie brudy jak ścierką, nie widywał się w domu, ani na ulicy. W szyneczku spotkanie ich miało pozór przypadkowego, a i w tem nawet baczny Goral nie zawsze w jednym miejscu schodził się ze Zrebskim. Gdzie mu potajemnych potrzeba było dośledzeń, postraszenia kogo, wciągnięcia w sprawę lub wyciągnięcia z niej, podrzucania plotki i tym

podobnych środków pomocniczych. tam Zrębski zwykle mu posługiwał. Ale bogaty patron i tu zachowywał się ostrożnie i rachując na swoją przebiegłość, w oczach Zrębskiego każdą swą czynność białą malował, pewien że mu wmówi co zechce. Nie tak jednak było. Zrębski nie pokazując wcale po sobie, żeby się domyślał jak brudne mu powierzano interesy, doskonale umiał ocenić swego naczelnika i wiedział o jego traktatach z sumieniem zawieranych na różnych warunkach. Goral miał go za przebiegłego łotra, ale nie sądził daleko bardzo widzącym człowiekiem, pochlebając sobie, że swą powagą narzuci mu taki sposób widzenia jak zechce, w czem się bardzo mylił.

— A teraz, cicho dodał, nalewając sobie drugą lampkę którą chciwie polknął Zrębski, pomówmy o warunkach.

Goral podniósł głowę i zmarszczył czoło które się łatwo fałdowało.

— Cóż to? spytał, prawa mi dyktować myślisz?

— Ja! a! uchwaj Boże, z ukrytym zawsze uśmiechem rzekł pokornie patron stary; a czyż ja nie znam pozycji swojej? nie ośmieliłbym się! Ale to interes wielki, zarobek może być znaczny, słuszną żebym też i ja, który wszystko zrobię, coś z tego chwycił.

— A kiedyżeś mi co zrobił darmo? dumnie odparł Goral.

— Alboż ja to mówię? ja chleba kawalek który jem, Bogu tylko i tobie mój zacny opiekunnie winienem, starając się go zarabiać sumiennie i gorliwie... Grzeszyłbym gdybym tego nie powtórzył dziesięć razy na dzień.

— No! dość tych słodczy. do rzeczy! co chcesz za tę sztukę?

— Najprzód trzeba sztuka ocenić! rzekł żywo stary. Daje wam kupca kiedy go najpilniej potrzebujecie. kupca który się na towarze nie zna i pali się do niego; człowieka pienieznego a nieświadomego, z którym zrobicie co chcecie. Wmówilem mu tak doskonałość nabycia którego nie znam i bojaźń konkurentów których nie ma, że się nie odważy nikomu słowa pisać, nikogo poradzić. Wszystko zależy odemnie, a on ma w słudze pańskim zaufanie nieograniczone. Na mnie więc leży robota...

— To jest pierwszy krok...

— I ostatni! i ostatni, oparł się pijąc ciągle Zrębski; nic nie robi bezemnie, nie tylko w pierwszych krokach do kupna, ale przy ugodzie o cenę i zawarciu umowy. Nie małom się napocił i napoće, a w dodatku pewien jestem, że potem stękać będzie i na mnie wina cała spaść musi.

— Dla czego ma stękać? ofuknął się Gorał, myślisz że go chcemy oszukać?

— A! uchowaj Boże! uchowaj Boże! składając ręce zawołał Zrębski, ale są okoliczności czasem... Możecie państwo nie dość znając cenę dóbr podnieść ją wyżej niż należy; możecie mu czegoś nie dopowiedzieć... o czemś zamilczeć... wypadkiem...

Gorał spojrzał ostro i wstał raptem z krzesła, czując się odgadniętym.

— Wiesz waćpan, rzekł dumnie usiłując odepchnąć daleko natręta co mu się cisnął, że ja w sprawy szachrajskie się nie wdaję nigdy... Mnie chodzi o to żebym miał dla swego pryncypała pieniądze w porę... ale nie żebym oszukał. — Wstydzę się waćpana.

— Widzę, że panu dobrodziej co mnie znasz tak do-

brze, nie chciałeś mnie zrozumieć, zawołał składając ręce na piersi stary filut; mógłbym ja przypuścić, coby charakterowi tak mi znanemu pana uwłaczać mogło? Ale w pośpiesznej sprzedaży nie mogą być omyłki?

— Tracim drogi czas, rzekł Goral niecierpliwie, mów.

Na mnie więc leży wszystko, ciągnął dalej jak począł Zrębski; muszę go pilnować by się nie dowiedziała familja, żeby zbyt rady nie zasięgał... doprowadzić rzecz do końca. Jak pan dobrodzieju sądzisz, co to warto? spuszczaam się w tem całkiem na wyrok jego.

Goral pomyślał i zdawał się rachować chwilę, nawet palce rozłożywszy, coś na nich widocznie dzielił i dodawał.

Zrębski stał uważny i milczący.

— Wezmiesz tysiąc złotych, rzekł nareszcie po cichu zacinając usta adwokat.

Stary aż się cofnął i ze stołu chwycił czapkę spoglądając z ukosa na butelkę.

— Paunie dobrodzieju! rzekł, to żarty.

— Jakto żarty? oburzony odparł Goral.

— A tak, nie inaczej! Cóż to jest tysiąc złotych, gdzie chodzi o pół miljona?

— Kto ci powiedział że o pół miljona chodzi? żywo ofuknął pierwszy. Ho! jużś śledził i wahał!

— Albożem mówił że o pół miljona chodzi? zakłopotany niby ale w duchu śmiejąc się odparł stary... powiedziałem na wiatr, zgadując.

— Chcesz mnie wywieść w pole, bratku? z tego nic nie będzie! Ty już wiesz o jakie dobra chodzi i ile je szacują.

Zrębski się zaklął.

— Na sumienie (w myśli dodał *twoje*). na sumienie klął się, nie wiedziałem! Jak pan dobrodziej przypuścić możesz, żebym ja nawet śmiał pomyśleć o podejsciu względem tak dalece wyższego odemnie rozumem i doświadczeniem i pozycją człowieka?

To mówiąc uśmiechał się do siebie.

— Ale widzę żeś zgadł przypadkiem, dodał powolniej.

— Nie mam co tać, szacunek jest pół miliona, ale na nim świeży cięży dług bankowy; nie weźmiemy więcej gotówki nad niespełna trzykroć... interes więc na tej stopie.

— Najlżej więc ceniąc moję posługę jako komis i nie wchodząc w to, jak jest delikatny i trudny, czyż nie powinienem żądać półtora procentu?

— Oszalałeś stary! krzyknął Goral, pół pięta tysiąca...

— A! jak pan dobrodziej liczysz! z zachwytem uwielbienia rzekł stary, ja sam nie wiedziałem ile to wypadnie!!

Goral się mimowolnie uśmiechnął i pogladził czuprynę, lubił kadzidło bardzo.

— Dam ci dwa i ani grosza więcej — dodał biorąc za czapkę.

Zrębski spojrzal usilując mu wyczytać z oczów, czy też może spodziewać się co utargować, a zobaczywszy w nich niecierpliwość, uparł się przy swoim.

— Bóg widzi, rzekł, kosztuje mnie i boli, że nie mogę spełnić nawet darmo tej posługi dla ciebie mój dobroczyńco; ale kto wie? mogę nie najlepiej się przyśłużyć i Balowi, którego kocham i weneruję. sumienie mi się odzywa... nie umilknie od tysiąca, bo żyć nie

będzie z czego, a u pocziwego kupca częsta gratka dla mnie... Nie mogę, dalipan nie mogę!!

— Ha! jak chcesz, wkładając rękawiczki, niespokojnie odparł adwokat; rachuj, a w rachunku nie mijaj, że ja cię drugi raz także nie użyję, kiedy mi się tak bardzo targujesz... Zresztą trafilebyśmy i sami do Bala.

— Probuście! probujcie! zimno rzekł Zrębski, słowa na to nie rzeknę... ale że się nie uda to ręczę.

Widząc, że się tego nie uląkł Zrębski, Goral rzucił mu na wychodnem.

— Ostatnie słowo! masz trzy tysiące!

— Targujesz się pan! pan! pan! powtórzył kilkakroć zawstydzonemu, chwytając go za połę stary; a czy to się godzi? ze mną ubogim, co w pracy i pocie czoła żyć muszę...

— Muszę się targować, kiedy chcesz niedorzecznych jakichś wynagrodzeń za rzecz najprostsza!

— Ostatnie słowo! cztery tysiące! zawołał stary, lub nic z tego nie będzie.

Adwokat już był na progu, zawahał się.

— Niech cię wszyscy djabli porwą! krzyknął, dając! ale jeśli mi się rzecz urwie! jeśli zrobisz zawód! w oczy ci więcej nie zobaczę! pamiętaj!

Zrębski skłonił się niziutko.

— Ja swego jestem pewny, rzekł.

— Jutro przyjdź tu po informacją o godzinie pierwszej z południa.

To mówiąc otulił się płaszczem i szybko przebiegł pierwszy pokój, niepostrzeżony niknąc w mroku nocnym.

---

## ROZDZIAŁ VII.

---

**W którym czytelnik poznaje hrabiego Jana Brachora Sulimowskiego.**

W prędkie wyszedł pan Joachim Goral na plac przed ratuszem, a że wieczór ostatków lata był piękny, puścił się piechotą ku ulicy Wierzbowej, zamysłony, ale rad z siebie. Po drodze ani spojrzeć raczył na żyjące i wesoło używające pięknej pory miasto; na oświecone domy przez których okna światła błyskały wśród kwiatów; na postrojone kobiety powracające z przechadzki; na teatr, około którego roily się powozy i ludzie cisnęli....

Nie go to nie obchodziło, bo nie zwykł był darmo na świat spoglądać, każdy krok jego był obrachowany, każdy ruch miał cel. każde wejście powinno było przynieść procent. To co nie wpływało na interesy, żaden i nie miało styczności z kieszenią pana Joachima, dziwnie mu było obojętne.

Gdyby księżyc wdział był tego wieczora cztery rogi miasto dwóch i ośłą czapkę w dodatku, pan Joachim

nie raczyłby się ku niemu odwrócić i ruszałby ramionami na tych co by się ku niemu gapili....

Nie witając więc nikogo, nie oddając ukłonów nawet które go spotykały, dostał się do zajezdnego domu Gerlacha na Krakowskiem przedmieściu.

Tu nie meldując się wszedł do wielkiego salonu, poprzedzonego przedpokojem i z uśmiechem poważnym na ustach zbliżył się do siedzącego za stołem szpakowatego mężczyzny.

Nim będziemy mieli przyjemność powtórzyć część rozmowy między hrabią Janem Braciborem Sulimowskim a naszym adwokatem, musimy wprzód przedstawić czytelnikom zacnego potomka wielkiego domu Braciborów.

Nie jest mi spelną wiadomo, czy to był tak bardzo wielki dom za jaki chciał uchodzić w swojej prowincji, to pewna, że przydomek dosyć pięknie brzmiący i od lat kilkuset zamieszkanie w jednym województwie, dawnem Wołyńskiem, czyniło familją Sulimowskich w oczach szlachty czemś tak wyższem, że jej bez sporu i drwinek pozwolono w końcu XVIII. wieku nie wiedzieć gdzie schwytany przybrać tytuł hrabiowski. Przez lat też pięćdziesiąt z górami pisać się hrabiami Sulimowscy, byli już najpewniejsi, że ich komosostwo sięgało nieścignionych pamięcią czasów.

W ogólności byli to ludzie dumni, ale popularni, z tą grzecznością dla wszystkich uważanych za niższych, która więcej odpycha niż pociąga, ale do której przyczepić się niepodobna. Sulimowscy przez procesy, chciwe kupna niefortunnie poczynione, zapędzające ich w długi, i różno niewyliczone okoliczności, zaszargali się bardzo, ale mieli jeszcze w ręku całą prawie for-



tunę, choć niezmiernie obciążoną. Umysł ostatnich Bracibora potomków wysilał się teraz na odpychanie wierzcicieli, na obrachowanie spadków, które mogły na nich zejść po śmierci dalekich krewnych, na poszukiwaniu posagów po babkach i prababkach. Golizua hrabiów była jednak świeżca, przymieszało się do niej skąpstwo brudne, ale to nigdy nie wychodziło na wierzch dobrowolnie. Były więc eugi, slugi, pałace, dwornie, marszałkowie, sekretarze, kasjerowie przy przynych dumających kufrach; bywały bałe nawet, choć często i na łojowe świece zabrakło.

Z licznej familji Sulimowskich, która była bardzo rozrodzona, hrabia Jan uważał się za najbogatszego i najrozumniejszego. Taka była przynajmniej zgodna opinja jego rodziny, która go szanowała, a na mocy jej szacunku, wymagał i od obcych pan Jan uszanowania i holdów, które przyjmował jako należny sobie podatek.

Ojciec jego piastował niegdyś wysoki urząd w województwie, stryj był ka ztelanem, drugi biskupem *in partibus*, a ilustracje te cingły na ustach miał godny Braciborów potomek. Główne zastosowanie praktyczne rozumu, który mu przyznawano, ograniczało się do interesów. W istocie, jeśli zaczepianie nierustanne pod najblachszym pozorem, uparte obstawanie przy swoim i pienianie się do upadłego dowodzą rozumu, miał go hrabia obficie. Żył cały w sprawach, które prowadził, w papierach z których je dobywał po dwóchset latach przemilczenia, w wykrętach prawniczych i nadziejach wyprocesowania czego mu brakło. Drugiem jego zaprzątaniem nieustannem były spadki, jakie na familją przypaść mogły. Doskonale obeznany z drzewem genealogicznym, śledził posagów które z domu wyszły, z

upartą zaciętością goniącego ostatkiem człowieka, i mało kto rozstał się z tym światem. by on nie spróbował przynajmniej przypytać się do jego pozostałości.

Zresztą wielki pan w obojętności, ale nie dobrze odgrywający swoją rolę, bo ją przesadzał zbyt znacznie; lud Boży mający za nic, grzeczny z tymi, których potrzebował, dumny dla obojętnych, pragnął tylko stosunków, którymby głośno się mógł popisać, i szlachtę zabijał książętami wujami, książętami stryjami, wysławiając ich nieustannie.

Ciągle się prawując i nie zawsze pilnując koniecznie strony sprawiedliwej, byleby pozór prawny słuszości miał za sobą. Hrabia Jan udawał wielce szlachetnego człowieka, ale w gruncie nie wiele o to dbał, jak go tam będą nazywali, mówił o charakterze swoim i uczciwości dosyć, ale biada, kto na to rachując, spuścił się na niego!

Z panem Joachimem więc pod tym względem była to doskonale dobrana para. A teraz spojrzmy na jego powierzchowność.

Był to chudy, zgarbiony trochę mężczyzna, pięćdziesiąt kilkoletni, z uśmiechniętą małpią twarzączką żółtą, oczyma piwnymi i szpakowatą czuprynką. — Szczególny charakter jego fizjognomji nadawały usta nadzwyczaj szerokie a wąskie, podobne do rybiego pyska, gdyż broda z niemi dobrze naprzód wystawała. Nosek maleńki spiczasty, którego natura na prędko i od niechcenia przyplasnęła mu na twarzy, nie wiele na niej miejsca zajmował. Skutkiem szerokości ust, hrabia miał minę ciągle uśmiechnioną, choć się nawet nie śmiał wcale.

Pomimo lat, były w nim jeszcze ostatki odegrywa-

nia młodości w chwilach wolnych, ale nie mając czasu na wdzięczenie się przy kobietach lepszego towarzystwa, szukał sobie łatwiejszych kochanek między żonami ekonomów i pisarzy dóbr swoich. Lubił dobry stół, gdy zań nie płacił, wino stare na cudzym stole, zresztą nadewszystko pieniądze, których nie miał.

Pau Joachim zastał go w szlafroku nad kupą papierów, ze zgasłą fajką na długim cybuchu, z przepyszny-m ale poklejouym bursztynem. Szlafrok był tyftyk-owy, ale stary i poplamiony, pantofle złotem dzierzgaue, ale podarte, czapeczka bajorkami szyta, ale stłuszczo-na i brudna jak wszystko co go otaczało. W sprzętach, w nieznaczących drobnostkach do koła rozrzuconych, łatwo było postrzedz i pretensje do państwa i skąpstwo a niedostatek. Wielki drągał w sinej liberji, który drzwi wchodzącemu otworzył, miał na sobie odzież z blachami i herbami, ale suto polataną i niemniej odartą. Tłómoki, posłanie, suknie, wszystko było stare, zużyte, cuchnące stęchlizną.

Nie wstał hrabia na przywitanie swego adwokata, wyciągnął tylko ku niemu rękę protekcjonalnie.

— Jak się masz! jak się masz! wybąknął głosem ochryplym, czytam właśnie memorjal sprawy przeci-wnej! ale tu nie ma najmniejszej logiki! To są rzeczy niesłychane! Chcą zwrotu kosztów, o których wykład nie prosiliśmy! To nie ma sensu!

Położył papier na stoliku i spojrzał na pana Joa-chima, który z miną bardzo poważną, wyprostowany, poufale ale z uszanowaniem zbliżył się do niego.

— A cóż? rzekł, ten drugi interes.

— O jakim hrabia mówi? spytał obojętnie Goral przeglądając papiery.

— O sprzedaży klucza Zakalańskiego! westchnął Bracibor... niestety! gdyby nie nalegające okoliczności, nigdybym nie pomyślał o pozbyciu się tego Złotego Jabłka!... Nie uwierzysz kochany panie, jak mi jest ciężko cokolwiek sprzedać! To spadek po rodzicach, po dziadach!! to pamiątka familijna!

— Jeżeli hrabia zechcesz, to sprzedać możesz, obojętnie rzekł adwokat, wciąż patrząc na papiery.

— Masz więc kupca?

— Kupca? tak! uśmiechnął się Goral, a jak to hrabia zgadłeś... że kupiec.

Skrzywił się trochę stary i jeszcze mu się więcej rozszerzyły usta, zachodząc prawie od ucha do ucha.

— Ale kupiec oryginał, dodał powoli pan Joachim. Uroiło mu się i szlachectwo i pochodzenie i chce kupić dobra ziemskie. by sie z handlu wyprzedać a na wieś wynieść... Latwa i dobra sprawa...

— Jak się nazywa? podchwycił hrabia.

— Erazm z Balogrodu Ba!...

— Jakto? istotnie z tych Bałów, co mieli posiadłości w Sanockiem?

— Nie wiem tego dokładnie, ale tak mówią... Bijąc w jego szlachectwo i głasząc próżność, wszystko z nim zrobić można. Człowiek bogaty, pieniądze gotowe ma... Zapłaci co hrabia zechcesz, i przykrych tam ceremonij. poszukiwań po aktach, kwerend robić nie będzie.

— Ale bo na cóż to z uczciwymi ludźmi! zawołał Bracibor bardzo serjo... czyżbym ja chciał, korzystając z swojego położenia, coś mu ukryć, lub więcej niż należy wyciągnąć? Tego nawet przypuścić nie można!

— Dziś tedy, dodał Goral, pomówimy o warunkach, ułożym mu notatkę, a jutro lub pojutrze mogę go tu

przyprowadzić...

— O! o! jakże mi żal będzie tego majątku! westchnął hrabia Sulimowski... istotnie, nazwałem je *złotem jabłkiem* nie darmo. Ja nie miałem ztamtąd takiego dochodu, jaki bym mieć był powinien; ale cóż? my panowie na obszernych dobrach nigdy się dopilnować nie możemy. Zawsze sobie układałem zająć się Zakalańszczyzną, byłoby to naówczas coś nieporównanego! Wzięliśmy to po babce swojej z domu księżniczce Szynskiej... Są to dobra Poleskie, ale Polesie żyzne i położenie nad rzeką splawną.

— Niech hrabia mówi mi, a ja notatkę zaraz ułożę, rzekł pan Joachim chwytając za pióro...

— Mam i inwentarz i mapę! nie wiem prawdziwie, jak mi się to w drogę jadąc zamieszało, bo nie miałem najmniejszego projektu sprzedawać, ale okoliczności...

— To możemy wynotować z inwentarza? zapytał adwokat.

— Nie! ja to wiem wszystko na pamięć.

— Szczęśliwa pamięć!

— Ha! ha! wprawna panie kochany! trzydzieści lat zmuszają mnie interesy familijne do nieustannych spraw i procesów. Nie mam spokoju i grzebię w papierach ciągle, muszę o najmniejszej rzeczy pamiętać. Przytem Zakalańszczyzna to mój ulubiony kątek, ilekroć objężdżając swoje dobra, zajadę tam, rozstać się nie mogę z Zakalem.

Hrabia nic nie mówił o ekonomowej, ale się do siebie uśmiechnął, myśląc zawczasu gdzie ją przeniesie.

— Zakalańszczyzna, mówił dalej, składa się z pięciuset sześćdziesięciu i dwóch dusz męskich (kobiety u nas dusz nie mają), dowcipnie rzekł w nawiasie. —

Trzy wioski do niej należą: Ciemierna, Zakale, Borowica i... zapomniałem. przysiołeczne jeszcze, Nowiny... tam osadziłem ja już szlachtę czynszową, to podniosło mi arędę.

— Ale mówią powszechnie, że ci Budnicy u państwa bardzo lasy niszczą.

— Tak! tak! z dwuznacznym uśmiechem odparł hrabia, to muszę przyznać, że w Zakalu las wyrobiony trochę... budulec tylko... smoła być może... Główne tedy fundusze w Zakalu, dwór stary porządny, jeszcze mojej babki. O! z żalem się rozstaje z tą drogą pamiętką. Zabudowania dworskie z drzewa i jak u nas zwyczaj powszechny i z chrustu.

Z chrustu? podchwycił zdziwiony pan Joachim.

— Czegoż się pan kochany dziwisz? to rzecz wyborna i bardzo trwała, stodoły nawet, to rzecz doświadczona, najlepsze są chruściane, bo przewiewne.

— Ale możeby lepiej o budowlach z chrustu nie wspominać. rzekł adwokat, wszakże chrust jest drzewem, po co specyfikować?

— Masz pan kochany słusność, możeby nie specyfikować... nie ma potrzeby wcale.

— Grunty? spytał Joachim.

— Grunty, prawdę mówiąc, to prawda, przedewszystkiem są glinowate, piaskowate, najlepsze grunty w świecie! Podolska i wolińska ziemia ma to do siebie, że na niej czasem przepada z kretesem, gdy na poczciwych poleskich, a dobrze zagnojonych łąkach, choć urodzaj mierniejszy, ale pewny, i wydatek z kopy daleko większy.

— Ale piasek, podchwycił pan Joachim, to jakoś zastraszaające. to pachnie pustynią. możeby i piasku

zamilczeć?

— W istocie więcej jest glinki, odparł hrabia, szczerą prawdą, ja do zbytku już chcę być sumiennym.

— Pola ile?

— Zdaje mnie się, że w ogóle trzysta dziewięćdziesiąt morgów w każdą zmianę w trzech folwarkach.

— Tam łatwo wykarczować. położmy czterysta, to lepiej brzmi.

— W istocie są pustki nawet, wyjdzie na czterysta jestem pewny... śmiało napisać można liczbę okrągłą.

— Sianożęcie?

— Niewykoszone! O! co w tem, to majątek nie porównany! a cóż mówić o tych ługach nadrzecznych, z których i siano i zboże mieć można (jeżeli woda nie zaleje o świętym Janie, co rzadko), to są egipskiej żyzności doliny.

— Cóż więcej?

— A! zapomniałem o młynach! w Borowicy dwa, w Zakalu pływak jeden, trzy więc młyny, którymi właśnie chciałem się zająć, mogłoby dać intratę bajeczną! o! cały majątek drugi jest w tych młynach... Niczego tak nie żałuję jak tych młynów.

— W dobrym stanie?

— Tak! funkcjonują! pod nosem rzekł hrabia.

— Może jeszcze co dodamy?

— Dodaj pan, położenie nieocenione nad rzeką spławną, nad Horyniem, lasy przy nadziei, bo za lat kilkadziesiąt można będzie wziąć za nie sumy neapolitańskie... cóż jeszcze? handlową pozycją! Możliwość założenia binduhy, sperandę na szkło, którego by huta tu wygodnie stanąć mogła, wypęd smoły... Ale któż to wyliczy! hrabia westchnął.

— To już się ustnie nabywcy rozpowie, rzekł pan Joachim, a są jeszcze ciężary?

— Dług bankowy, rzekł hrabia, ale ten dług dobrodziejstwo największe, bo nabywcę upewni, że innych już być nie może.

— Ani procesy? — spytał pan Joachim.

Hrabia się obejrzał nważnie.

— Proces był, ale ukończony.

— Finałnie?

— Zdaje się; zresztą że to rzecz, o której wspominać nie warto.

— I ja tak myślę...

— A szacunek jaki położym?

— Prawdziwie, podnosząc głowę do góry i poglądając na sufit rzekł Sulimowski smutnie, gdybym serca się mojego pytał, nigdybym dosyć tego majątku oszacować nie potrafił... to złote jabłko! U nas ziemia widocznie idzie w górę! kredyt upada! potrzebujemy pewnej lokaty, wszyscy się chwytają ziemi.

— Więc pan hrabia powiada?

— A! kochany panie! ja jeszcze nie powiedziałem, smutnie odparł hrabia — pięćset sześćdziesiąt i dwie dusze, cztery wioski licząc Nowiny! rzeka spławna! najmniej sześćkroć sto tysięcy!

— Sześćkroć! rzekł pan Joachim wstając z krzesła i poczynając się przechadzać. Panie hrabio! to Polesie jednakże!

Panu Gorałowi chodziło o to, by Bałowie nie krzyżeli nań bardzo za powrotem kiedyś, i choć doskonałą miał wymówkę w nieznajomości miejsca, chciał jednak o ile możliwości, żeby był i wilk syty i koza cała.

— Ale to jest Polesie wolyńskie, a raczej Wołyń —



Poleski, kochany panie. zerwał się pan Sulimowski z kanapy... to najpiękniejsza majątność w tych stronach.

— A nie byłoby dosyć po tysiąc złotych za duszę? spytał cicho adwokat.

— Nie mów mi panu tego, to później! to później! wiele mnie kosztuje, że się tego majątku pozbywam.

— Widzi pan hrabia, zdając majątek będziemy musieli oddać i papiery co mu służą; widziałem wczoraj na stole transakcją Szujskich z Bohowitynami, w której stoi, że Zakalańszczyznę kupili za sto tysięcy.

— Kiedy to było! to nie racja! przed stu laty! majątki ogromnie poszły w górę! zresztą ja sam poczynilem ulepszenia, wszystko kosztuje...

— Miedzy nami mówiąc panie hrabio, ostatnia cena?

— Gdyby nie okoliczności, cicho rzekł hrabia, za nicbym tego majątku nie oddał... to złote jabłko!

— Od pół miliona nie oddam.

Pan Joachim się zamyślił chwilę.

— A gdybyś pan hrabia tę cenę wziął... Resztę dał do zrozumienia.

— Spuść się pan kochany na mnie,.. będę umiał ocenić jego pracę i laskawą pomoc.

— O! o! na jedwabne słówka mnie nie złapiesz! pomyślał w duchu chmurząc się pan Joachim i znającą zamilkł.

Hrabia postrzegł, że złą drogą się puścił, zawołał służącego, żeby fajki podał, chcąc utargować czas do namysłu.

— Naprzykład, rzekł, wiele mam ofiarować? Ale zapomniałem o porękawicznem!

— Dla kogo?

— Dla hrabinej.

— Wytargujemy je.

— Nie weźmie mniej pięciuset czerwonych złotych, przywiezę jej kolje i kolczyki, które tu upatrzyłem.

Hrabia myślał wcale o czem innem, bo potrzebniejsze były chustki od nosa, oddawna dziurawe choć haftowane... niżeli kolje i kolczyki.

— Na kogoż koszty prawne? spytał pan Joachim.

— O! na kupującego, w tem mam metodę niezmienną, stała i od tego nie ustąpię... Ale coż mam ofiarować?

— Pan hrabia się namyślił, rzekł z przyciskiem Goral, ale jeszcze jest rzecz jedna.

— Cóż takiego? obawiając się już zapytał puszczać dym dla zasłonięcia skwaszonej twarzy hrabia.

— Są koszty, których podać nie można. Rzecz to była trudna znaleźć takiego kupca jak Bał, łatwego, bogatego i gotowego zawsze, musiałem użyć środków nadzwyczajnych.

— O! o o o! bąknął pan Sulimowski, coś mi pan o tem wspominał. Istotnie! martwi mnie używanie takich środków.

— Ja się wzdygam nad niemi, ale bez tego nie.

— Cóż to tam może kosztować? niby obojętnie rzekł hrabia.

— Około dziesięcin tysięcy.

— To grubo! bardzo grubo!

— Zapomniałem dodać, że to warunek *sine quo non*...

— Bardzo grubo, jeszcze raz powtórzył hrabia ciężko wdychając... A panu dobrodziejowi...

— Niech pan sam osądzi; jeśli ktoś podrzędny bierze dziesięć, jeśli poręczawiczne, prosty podarek tyleż ma wynosić. coż powinno być mnie?

— No, dwadzieścia! wybąknął z niecierpliwością hrabia.

Pan Joachim nie rzekł ani słowa, dumnie podniósł głowę, zaplął surdut i wdział rękawiczki, ale milczenie jego i wejrzenie, a nawet pośpiech do wyjścia były złą wróżbą.

Hrabia był widocznie znęcierpliwiony, chodził po sali żywo: pan Joachim chciał go pożegnać, podali sobie ręce.

— Jeżeli się to wszystko dobrze i gładko bez szperań daremnych i tych młaych formalności ukończy... bo mi o pośpiech chodzi, dodał Sulimowski, chętnie zaofiaruje panu kochanemu trzydzieści tysięcy... zdaje mi się...

— Po taramy się żeby to zrobić jak najspieszniej i najdogodniej, trochę rozjaśniając oblicze rzekł prawnik, z godnością pewną schylając głowę.

— Chodzi mi o pośpiech! bo zresztą, żywo zawołał Bracibor, jak najsumienniej, jak najkrupulatniej chcę kofczyć! Nie dwnznaczanego! nie przesadzzonego! święta prawda. Majątek nie potrzebuje swatów, bo to jest coś nadzwyczajnego!

— Zrobimy to, zrobimy, rzekł adwokat, ale jeszcze słowo. Nie mógłbym prosić hrabiego, żebyś był o ile możności grzecznym i poufałym z Balem, a słówko jakie wtracił mu o familji jego! Zrobi się gładki i łatwy! Może to źle tak na hulzką próżność rachować, ale któż bez niej! Człek najpocziwszy zresztą!

— Cha! cha! rozśmiał się ruszając ramionami hrabia, o to najłatwiej, będzie kontent ze mnie, ręczę panu.

## ROZDZIAŁ VIII.

---

### Wachają złote jabłko.

Z wielką niecierpliwością czekał jutra co miało spełnić najdroższe jego marzenia pan Bal, a wszelkiej mocy jaką miał nad sobą użyć musiał, żeby się zawczasu nie wygadać niepotrzebnie przed żoną i synem. Nadzwyczajny jego dobry humor, podskoki, pocieranie włosów, śpiewki improwizowane, chodzenie po pokoju z wysoko podnoszonemi nogami, zwracały uwagę familji, ale nie dozwalały jednak niczego się domyślać stanowczo. Jakby przeczuciem jakimś, pani Balowa była smutna i ta wesołość męża niewytłómaczonym sposobem ją zastraszala.

Do objadu nikt nie przyszedł, a z każdą godziną rosła niecierpliwość pana Erazma; o pół do pierwszej, kiedy już wszyscy byli na górze w pokojach, zjawił się pan Zrębski, ale ani wziął kupca na bok, ani mu słowa szepnął, dając tylko znak zręcznie, że wszystko gotowe i że się po objedzie obszerniej rozmówią.

Prawie nienaturalny był humor przyszłego dziedzica Zakalańszczyzny i im bardziej się podnosił do egzaltacji, tem żona stawiała się niespokojniejszą. Schwyciła ona znak dany przez Zrębskiego, a że się go obawiała i przeczuwała jakąś z nim robotę, drżała ze strachu, nie mogąc jeszcze domyśleć się o co chodziło. Była tylko pewną, że jakąś stratę poniosą. Spojrzeli po sobie ze Stanisławem, który prawie toż samo odgađywał i smutnie spuścili oczy. Lizia siedziała spokojnie, to uśmiechając się do ojca, to ukośne rzucając wejrzenie, prawie bojaźliwe na Jana, który na nią nigdy prawie spojrzeć nie śmiał.

W czasie objadu spieszył się ciągle kupiec, łykał szybko, wyglądał półmisków, nożem bijąc po talerzach, roztargniony i widocznie jak na szpilkach; zaledwie wstali, schwycił Zrębskiego pod rękę i głośno wołając: proszę o kawę do mego pokoju, pójdziemy do siebie na fajeczkę! ruszył nie oglądając się.

— Co się dziś twemu ojcu stało? zapytała, okiem goniąc za wychodzącym Ludwika do syna, uważałeś jaki był?

— To się ojcu często trafia, ale jednak nie do takiego stopnia.

— Cóż dziwnego, że był wesół i że się spieszył, dodała Lizia, kontent że się pozbył kataru, a więcej jeszcze że będzie mógł wyjść.

— Panie Janie, czyś uważał? obróciła się pani do mu. Niepokoją mnie te uarady ze Zrębskim.

— Widziałem tylko szczęśliwe bardzo usposobienie do różowego humoru, rzekł Strumisz, ale przyznam się, że nic z tego wniesć nie mogę.

— Pan bo lękaasz się nawet myśleć! szepnęła Lizia

ruszając ramiouami.

Strumisz spojrzal i zamilkł.

— Istotnie niepospolity tchórz ze mnie! odparł po chwili uśmiechając się.

— A to nie ładnie na mężczyznę.

— O! ja się tylko lękam tego, czego nie rozumiem. rzekł kłaniając się i odchodząc pan Jan.

Lizia poszła śpiewając coś do okna i w niem się sparał poglądając na ulicę, przez którą przechodzić musiał Strumisz do sklepu; Stanisław uaradzał się po cichu z matką.

Pan Bał trzaskając drzwiami, poleciał ze Zrębskim do swojego pokoju, zamknął się w nim i odwróciwszy szybko do starego fluta, w którym serce z radości skakało, zapytał żywo:

— No! cóż? gadaj! gadaj!

— Rzeczy są prawie ułożone, szepnął ostrożnie i cicho stary prawnik, zacierając ręce i odchrzękując żeby się namyśleć co powiedzieć, ale wiele potrzeba ostrożności i zabiegów. Dał mi słowo, choć i to nie bezkosztu.

— No! mniejsza o to, ale na czem stanęło?

— Bestja plenipotent hrabiego, którego imienia dowiesz się pan dobrodziej, z góry mi zapowiedział, że nas do kupna nie dopuści, chyba mu się opłacim!

— No! co chce? co chce? mów.

— Jeżeli pan dobrodziej kupisz, musisz mu dać porękawicznego na moje ręce trzysta dukatów. — Z przykrością i bólem serca wysłuchałem tej propozycji, usiłowałem go zmiękczyć, ale nie nie pomogło, powiada że znajdzie dziesięciu kupców na ten majątek.

— Niech go лихо bierze! dam mu trzysta dukatów, to głupstwo! rzekł pan Bał.

— Ale że to człek niezmiernie drażliwy na opinią i nie chce nawet dać pozoru na siebie, że korzysta z tej okoliczności, ani mu można o tem wspomnieć, ani dać do zrozumienia... porękawicze na moje ręce weźmie po cichu.

To mówiąc Zrębski, mimowolnie się pod wąsem oblizal.

— Och! westchnął ciągnąc dalej. co do mnie nie nie chcę i nie wezmę, szczęśliwy i nagrodzony tem, że panu służyć mogę. a zgorszony tą chciwością!

— Co chcesz Zrębsiu, odezwał się kupiec, tańcząc z nogi na nogę, nie wszyscy są tak uczciwi i delikatni jak ty.

— To też ja biedę klepię, a ci na srebrze jedzą i karetami jeżdżą! z uczciwem doskonale odegranem gorzkiego wyrzutu Opatrzności dodał stary. Ha! wolę już swoje biedę pocziw!

— Notatkę o majątku masz?

— Nie mam żadnej; pójdziemy o trzeciej po południu do hrabiego, gdzie na nas czekają i tam się wszystko rozwiąże.

— Otóż sek! zawołał kupiec, wyda się tajemnica! Muszę się do niego ubrać w nowy frak! w domu to zaraz postrzegą.

— Nie potrzeba! nie potrzeba! to interes, nie wizyta! rzekł Zrębski, byle frak, choć ten tabaczkowy, to dosyć.

— Ale zmiłuj się, toć hrabia! magnat! pomyśli że nie znamy świata... Ale ja po cichu się ubiorę tu w kątka, wdzienę płaszcz i niepostrzeżony się wysliznę... ty Zrębsiu drzwi popilnujesz tylko, gdy się będę czu-purzył.

Już chciał *dictum factum* pójść się przebierać pan Bał, ale go zatrzymał stary.

— Dosyć będzie jeszcze czasu, rzekł, zostaje nam więcej godziny, a mamy jeszcze mówić o czym.... Są niektóre informacje potrzebne.

— Siadajże bo cię nogi zbolą, słucham i zastosuję się do życzliwej rady.

— Trzeba wiedzieć, rzekł prawnik, że nie z każdym jednakowo się traktuje... to stary aksjomat, człowiek do człowieka podobny, a dwóch nie ma jednakowych. Zatem i do tego hrabiego idąc, żeby go skaptować, potrzeba wiedzieć z której strony do niego przystąpić.

— Złoty człowiek z ciebie, Zrębsiu, o wszystkim myślisz! ściskając go rzekł Bał; że też się na tobie ludzie nie poznali... Nie bój się, potrafię z hrabią jak należy się obejść.

— Ale zawsze lepiej wiedzieć na pewno niż próbować, dodał Zrębski; usiłowałem się dowiedzieć co to za człowiek i mam informację dokładną. Wszyscy się na to zgadzają, że jakkolwiek dumny i dosyć z góry na świat spogląda, hrabia jest bardzo uczciwym człowiekiem. Okazać mu najmniejsze niedowierzanie, nieufność, byłoby to śmiertelnie go obrazić. Jest bowiem, słyszę, skrupulatny i sumienny aż do zbytku... W traktowaniu więc trzeba niezmierniej delikatności, nie zważać na drobnostki, a potem kończyć szybko... Byle słowo dał, rzecz skończona, już za nie go nie zmieni. Ma być niezmiernie honorowy...

— Rozumiem! wielki pan! mądrej głowie dość na słowie! rzekł Bał chodząc i podrzucając nogami coraz wyżej; potrafię! zobaczysz...

— Ani wątpię, ale informacja nigdy nie szkodzi.



— To też serdecznie ci dziękuję, będę już grał na pewno!

— A co się tyczy majątku, przerwał Zrębski, z bokum się już od obcych dowiedział, że to istotnie złote jabłko.

Kupcowi oczy się zaiskrzyły, stanął, uśmiechnął się i jak dziecko poskoczył uściskać prawnika, który przysiadł do ramienia pana Bala się schylając i nieskończone robił ceremonje.

— Zobaczysz! odwdzięczę ci! odwdzięczę, zawołał kupiec z przejęciem, spuść się na serce moje! Bije w niem krew Massagetów i Justynjanów...

(Pan Bal często w ten sposób Cesarza Justynjana niby przez *lapsus linguae* mieszał do przodków swoich).

— Ale może już czas iść? spytał niespokojnie, kto wie? zegarki gotowe się na figla przypóźnić, a nuż tam kto podskoczy...

— Bądź pan dobrodziej spokojny! mam ja tam stróżów! jesteśmy bezpieczni, byle traktowanie się udało z hrabią, bo na tem cała rzecz! majątek prześliczny... Gleba wprawdzie nie jest czarnoziem.

A! nie czarnoziem, powiadasz? rzekł kupiec udając że rozumie o co chodzi, to źle!

— Nie. Jest to glinka i trochę piasku... ale to właśnie ziemia co najlepsze daje plony, a nadewszystko nigdy nie zawodzi!

— Otóż to jest, że nigdy nie zawodzi! wykrzyknął z zapalem kupiec; nigdy nie zawodzi!! tu grunt!

— Położenie nad rzeką spławną... nad Horyniem... młyny, łąki nieprzebrane, a w dodatku *cztery* przepyszne wioski...

— Cztery! to klucz mosanie! krzyknął pan Bal. A! niechże cię uściskam! to książęce dobra!

— I tak jest! jak to pan dobrodziej zgadłeś, wychodzą właśnie od kuiaziołów Szujskich!

— Dobra po książęcu! Balowie! na Hoczwi, z Balogrodu! powtarzał w zadumaniu rozkosznem śmiejąc się do siebie pan Erazm... Opatrzność! wyraźnie Opatrzność!

— I ja tego inaczej nazwać nie mogę jak sprawą Opatrzności, z przejściem się dorzucił patron... Trzeba było wypadku bym o tem zasłyszał i został ręką wyraźną Opatrzności dla mego dobroczyńcy... trzeba było żebym zapobiegł konkurencji, coby walor dóbr podniosła wysoko... mamy w rękę to złote jabłko!

— Ale cóż oni to szacują? niespokojnie trochę spytał po namyśle Bal...

— Nie wiem. to pewna że ślepo trzeba będzie chwycić, bo cena słyszę niska... W tamtych stronach... to co tam zowią duszą płaci się...

— Jakto duszą, kochanku?

— Dusze to są ludzie osiedli *generis masculini*.

— A więc cóż za masculinów się płaci?

— Po tysiącu kilkaset złotych.

— A za kobiecieta?

— Nic, te się dają w dodatku...

— A za ziemię..?

— I za nią nic.

— Toż za bezcen! krzyknął pan Bal.

— Płaci się tylko za te dusze i po wszystkim.

— A wieleż tam tych dusz?

— Z górą pół tysiąca...

— A zatem szacunek przejdzie pół miliona! rzekł

kupiec kiwając głową.

Zrębski który doskonale wiedział ile miał pan Bal pieniędzy w listach, bankocetlach i gotówce, uznał jednak za stosowne spytać.

— Wszak to pewnie pana nie zastrasza?

— Nic a nic Zrębsim! gotówem kamienice posprze-  
dawać!

— Aleć to nie będzie potrzebnem, rzekł patron. zdaje mi się, że na majątku tym jest dług bankowy... wypadnie tylko dopłacić!

— Wiele?

— Około trzechkroć, a koszta!

— To bagatel! zresztą, dodał po cichu Bal, projektem moim, ale to między nami, wszystko tu posprze-  
dawać, kamienice i sklepy, zabrać grosz jaki zostanie i dokupować do tych dóbr.

Zrębski się zamyślił.

— Widzisz jakbyś ty mi tam był potrzebny! ty, co taką masz do interesów głowę!

— Ja pannu mówiłem, przykuty jestem na nieszczęście do bruku! westchnął stary, ciężko mnie już ztąd ruszyć...

— Ha! wola twoja. nie będę cię forsował! ale mi tego żal szczerze! Jak ci się zdaje, możeby się już ubierać? spytał uśmiechnięty.

— Jak pan dobrodziej chcesz...

Pan Bal kiwnąwszy na Zrębskiego, żeby drzwi pilnował, wcisnął się do swojej garderóbki, w której wszystko poprzewracał w sposób najfatalniejszy, i nakławszy ludzi niewinnych, w kwadrans wyszedł wyświeżony. Przybrał nawet wraz z frakiem nowym minę poważną, zamyśloną. serjo. którą chciał zachować wobec hrabiego

rozprezentując starożytną rodzinę na Balogrodzie i Hoczwi, i potomka Massagetów. Dziwnie się dla swoich znajomych musiał wydawać z tą miną porzyczoną, z tem wyteżeniem uwagi na siebie, aby żywości swej i wesołości englów nie puścić. Zrębski aż się uśmiechnął, ale jego minkę pokryły wąsy jak zawsze.

Kupiec zarzucił na ramiona płaszcz hiszpański, w którym doskonale był podobny do bilardowej kuli zawiniętej w kawałek sukna i oglądając się bojaźliwie na okna swego domu, puścił ze Zrębskim ku kamienicy Gerłacha.

A w drodze, jakże marzył rozkoszuje przygotowując się do wystąpienia przed jego hrabską mością, jak siebie zapytywał i sobie odpowiadał dowcipnie, jak nadewszystko przejęty bliskiem szczęściem zuchwale rzucał się na dorożkarzy, nie widząc ani dyszlów, ani koni! Zrębski musiał go co chwila ostrzegać i jak dziecko prowadzić.

Mijając ratusz spotkali wychodzącego z narożnej cukierni pana Joachima Goralą, który ich niby nie spostrzegł. Zrębski uszczypnął kupca za łokieć i syknął:

— To on!

— Kto? przełękły spytał Bal.

— Plenipotent hrabiego.

— Ale kto taki?

— Wychodzi z cukierni.

— A! Goral! czy to być może! znam go dobrze, tem lepiej.

— Przyspieszmy kroku, przywitaj go pan, nie wiesz nic.

Nie dając się wyprzedzić w polityce, poskoczył pan Erazm ku adwokatowi.

— Dzień dobry!

— A! jak się pan dobrodziej ma?

— W jedno miejsce dążymy.

— Jako? niby zdziwiony spytał pan Joachim.

— Idę do hrabiego Sulimowskiego.

— Więc to pana dobrodzieja oczekuje? zawołał więcej jeszcze niby zdumiony Goral.

— Tak jest, śmiejąc się odparł kupiec, mnie, mnie i spodziewam się po starej znajomości, że mi pan dobrodziej pomagać zechcesz.

Goral zdawał się zakłopotany.

— Panie łaskawy! rzekł surowo! moim obowiązkiem jest pomagać temu, kto mi zaufa.

— O! na Boga! nie obrażajże się pan, żywo przerwał Bał, nie żądam nic nad to co godziwe! Ale chodźmy, bo godzina się zbliża.

— Chodźmy, rzekł obojętnie Joachim, chociaż nie wiem, czy się co zrobi.

— Jako! z kolei przelekły i zdumiony rzekł kupiec.

— Nie będę krył przed panem, że hrabia nie ma wielkiej ochoty pozbyć się tego majątku, którego zowie złotem jabłkiem, ma go za najlepszy klucz z dóbr swoich. Widać, że to jest jeszcze *in crudo* majątek, ale wielkich nadziei.

— Nie ma ochoty go zbyć? powtórzył kupiec.

— Nie powiadam, żeby go nie sprzedał, ale trudno to pójdzie. Człek przytem niezmiernie delikatny i dumny, najmniejsze słówko go obraża.

— O! o! mówiono mi o tem, zyrkając na Zrębskiego szepnął pan Bał, damy sobie rady...

— Życzę szczęścia, jeżeli to tak dobre jak powiadają, dodał Goral powoli... Piękne dobra! cztery wioski! zie-

mi ogrom! lasy! rzeka splawna! młyny! łąki! ryby! grzyby!

Pan Bał się tylko uśmiechał, a w miarę jak się zbliżali do domu Gerlacha, niepokój coraz wybitniej malował się na jego twarzy, wreszcie stanawszy na wschodach, ścisnął w milczeniu rękę Zrębskiego i nie bez bicia serca, błądy nieco wsunął się za panem Joachinem do wielkiego salonu...

## ROZDZIAŁ IX.

---

**W którym mamy przykład doskonałej sprzedaży.**

Hrabia udając, że się gości nie spodziewał, lub o oznajmionem sobie przyjęciu ich zapomniał, wpół siedział, wpół leżał na kanapie z fajką w ustach, której przepyszny niegdyś bursztyn należał do reprezentacji. Miał na sobie nowszy szlafrok starty wprawdzie, zmieyty i nie świeży, ale z przepysznej tureckiej materji, papucie nieco nowsze niż na codzień, resztę ubrania wyraźnie z uwagą dobieraną, ogolił się świeżo i rzeczy, które wprzód leżały rozrzucone dosyć nieporządnie, pochowały się za parawany. Lokaj miał liberję paradną z taśmami, na których rzędem świeciły herby na kanwie szyte.

Trochę sreber podróżnych, z guzami i dziurami na bokach, stały na widoku dla imponycji, otworzono nawet kantynę w kącie, żeby z niej resztę ich pokazać co się ustawić nie dała. Na wielkim stoliku leżał stos papierów prawnych, które hrabia przeglądał z wielką bardzo uwagą.

Spojrzał na wchodzących z roztarguieniem. powoli wstał z kanapy, niespokojnem okiem zmierzył pana Bala, który mu się kłaniał poprawując żabotów, a w nich brylantowej szpilki, co więcej była warta niż wszystkie srebra hrabiowskie.

— Przedstawiam pannę hrabiemu mego przyjaciela pana Erazma Bala... i pana Zrębskiego.

Hrabia zrobił minę szczupaka, który zjadł coś smacznego i usta szczelnie przymyka. żeby mu ślinka nie pociekła, skinął głową rzuciwszy nieco naprzód, podniósł ją do sufitu w milczeniu i odezwał się wreszcie:

— Bal! Bal! byłabyś waćpan dobrodziej potomkiem starożytnych Balów z Balogrodu z ziemi Sanockiej?

Twarcz pana Erazma przeszła stopniowo przez wszystkie barwy uszczęśliwienia i stanęła u szczytu jasności: usta mu drgały, uśmiech igrał po nich. pierś się podniosła, pot wystąpił na czoło.

— Bardzom szczęśliwy, rzekł nie bez zająkania, że pan hrabia znasz już tę rodzinę, której mam zaszczyt być potomkiem.

— Znam! znam ją bardzo dobrze! dodał wskazując krzesła przybyłym gospodarz, a sam rozkładając się malowniczo na kanapie... Piękna, starożytna, zasłużona szlachecka rodzina! kolliguje z pierwszemi domami naszymi!

Rósł pan Bal, rozdymał się i widać było, że interes w połowie już był zrobiony szczęśliwą tą uwerturą hrabięgo, chodziło tylko o odegranie malej komedji.

— Bardzo mi miło poznać potomka tak znaney rodziny! dodał hrabia szerokie otwierając usta a śmiejąc się oczkami.

Bal się skłonił.



— Dla mnie to prawdziwy zaszczyt, nierównie większej familji, tylą zasługami okrytej, rzekł powoli, poznać człowieka w osobie hrabiego i proszę wierzyć, że dzień, w którym oglądać go miałem szczęście, będzie mi pamiętny.

— Za to ręczę! w duchu rzekł pan Joachim. byle o Zakalańszczyznę skończyli, popamięta!!

— Pan Bal, odezwał się głośno, przybył tu właśnie w zamiarze traktowania o dobra, o których posłyszał że hrabia masz zamiar je sprzedać.

Mina hrabiego głębokie malowała zdziwienie. — Ja sprzedawać! co? sprzedawać! Zdaje mi się że nie miałem zamiaru niczego się pozbyć.

— Pan hrabia mi napomknął, rzekł serjo Goral... o kluczu Zakale...

— A! zmiłuj się pan! to było słowo na wiatr rzucone; najlepszy klucz z dóbr moich, choć prawda że przedzielony od nich kilką milami dóbr moich kuzyków Radziwiłłów. Ale mógłbym się pozbyć mego złotego jabłka?!

Bal spuścił nosa bardzo, uwierzywszy naiwnie w to co mówił hrabia.

— Prawdziwie, niezmiernie mnie to boli, żem się tak wygadał, rzekł zafrasowany pan Joachim.

— Ale to było słowo tak rzucone. To pewna, że prędzej wszystko jak Zakale. Rzeka spławna, lasy, łąki, młyny! Raj! panie; w dodatku mieszkała tam ś. p. babka moja, z domu księżniczka Szujńska. której pamięć i pamiątkę cześć najwyżej.

— Ale bo mi się zdało, rzekł pan Joachim znowu.

— Jakże to się panu źle zdało, z wymówką rzekł hrabia, otośmy darmo fatygowali szanownego pana Bala.

— Nie to nie szkodzi, kwaśno się kłaniając ale wzdychając pocichu, szepnął kupiec. I była chwila milczenia... Spojrzenia przytomnych krzyżowały się przebijane różnemi wyrazami. Bal mówił okiem do Zrebskiego: Cóżes to zrobił? — Zrebski mu odpowiedział: Nie zrażajmy się. — Goral miał minę tak zaturbowaną, tak tabaki zażywał, tak we drzwi spoglądał, jak gdyby myślał tylko o ucieczce. — Hrabia się przeszedł po pokoju poważnie, niby namyślając i strapiouy, stanął wreszcie.

— Hm! rzekł, nie radbym pana tak darmo fatygować, nie miałem ochoty sprzedać Zakala, bo je kocham i wiem co to za majątek, w ręku człowieka co by zarządzić umiał, to skarb! Wątpię żebyśmy skończyć mogli, bo te dobra mają dla mnie *pretium affectionis*; wszakże kiedy się tak złożyło omyłką, co mnie najmocniej trapi... Ha! uważam to za jakąś predestynacją... możemy zresztą spróbować, ale to pewne, dodał, że tam noga moja nie postanie, jeśli sprzedam, bobym płakał.

Usiadł na kanapie, w panu Erazmie serce biło, wejście poleciało pełne nadziei i skrzydlate ku Zrebskiemu, oczy zabłysły.

— Przygotowałem nawet notatkę na przypadek, rzekł Goral dobywając ją z zanadru powoli.

— Jakto! i notatkę? zapytał hrabia, spojrzał i smutnie podparł się na łokciu. Ha! proszę ją pokazać panu Balowi, to jakieś przeznaczenie. Schwyciłeś mnie za słowo niebaczne.

— Ale pan hrabia mówił! tłumaczył się Joachim.

— Cóż z tego żem mówił? to była myśl rzeczona nawiasem.

Ustąpili, niby się klóćąc trochę, a pan Bal ją czytać notatkę wedle wczorajszej sporządzonej narady, choć

tak mu w oczach się émiło, że przed niemi tylko widział tańcujące cyfry, które podrygiwały nóżkami cienkimi. potrzasały brzuszkami i wierciły głowami. Czytał i nie wiedział co, oddał po chwili Zrębskiemu, który głową zaczął kiwać, coraz coś niby wyczytując i tajemniczo z za karty spoglądając na swego pryncypała. Hrabia w ciągu tej chwili ruszył ramionami i ucierał się z panem Joachimem.

Pan Bal czując potrzebę najprędszego konczenia, przystąpił do hrabiego, ale się w zapale uśmierzał ile mógł, tylko go rumieniec i świecące wydawały oczy.

— Więc możemy pomówić, pozwoli pan hrabia?

— Panie dobrodzieju, rzekł zimno Bracibor Sulimowski, piętrząc się wysoko, jakby chciał polknąć kupca, nie mam szczęścia nawet bliżej być panu znajomym, możemyż tak bez potrzebuych dokumentów, bez kwe-reud, bez dowodów żadnych, na oślep taksować. Przyznam się mu, że dla mnie przykroby było nie zyskać wiary, a nie mam prawa jej wymagać.

— Ale proszę hrabiego, odezwał się Bal wzruszony do szpiku kości, czyż nie znamy tu żadnej rodziny, do której hrabia należysz i jego samego... Ja w ten interes wchodzę z zupełnem zaufaniem... z nieograniczoną ufnością.

— A właśnie, odparł hrabia, ja tego nie chcę! Ja nie mam papierów. Ja sam dobrze wartości tych dóbr nie znam.

Pan Joachim przyszedł w pomoc.

— Ale kiedy pan Bal, rzekł z cicha, ofiaruje się chętnie spuścić na pana hrabiego.

— Pan mnie widzę uparteś się Zakala pozbawić, zawołał Bracibor, cofając się i jakby broniąc: dziękuję,

bardzo dziękuję za tę ufność, bo ci co mnie znają wiedzą że jej nigdy nie zawiodłem: ale... takeście mnie panowie schwycili.

— Dobra nie przyległe! podszeptał Joachim, sameś to mówił pan hrabia. Dla interesów hrabiego byłoby to może dogodnem.

— Ale ja się mogę obejść bez tego... Zresztą gdybym już chciał sprzedawać, kuzynowie moi, Radziwiłłowie, dawali mi cenę ogromną.

— Ha! to jak hrabia chcesz, rzekł Goral, prawdziwie takem się tu wnięszał...

— Jak Pilat w Credo! jak Pilat! dodał żywo hrabia, to sobie przyznaj... Zresztą stało się, nie chcę ci robić tej przykrości, traktujmy...

Zrębski mrugnął na pana Bała, który nie potrzebował żeby go podpędzano, sam był i tak jak na żarzących węglach.

— Jakiż szacunek kładzie pan hrabia na dobra Zakale? spytał Bał.

— Gdybym szacował je jak znam, jak czuję że warte, byłyaby cena niesłychana, ale pan dobrodziej wpadłeś tu niewinnie, i nie masz powodu pokutować za to.

— Co za delikatność! wykrzyknął w duchu kupiec, to rzadki człowiek!

— Ja jestem aż do zbytku w tych rzeczach skrupulatny i sumienny, dodał Sulimowski, wolę stracić niż mieć sobie coś do wyrzucenia: posłuchaj więc pan dobrodziej: Są to dobra niby Poleskie, ale jedne z najprzedniejszych w Polesin, rozległość ogromna, rzeka, młyny, co tylko zamyśleć zechcesz; u nas w tej pozycji płacą się dusze często po tysiąc kilkaset złotych... ja...

Pan Joachim syknął.

— Widze, że pan hrabia już sobie chce z psuć interes.

— O! kiedy już sprzedaje i mówię o tym, dajcie mi pan pokój z radami, będę otwartym do ostatka, rzekł hrabia z surową powagą i zmarszczonem czołem, jeśli na tem źle wyjdę, pan będzieś miał na sumieniu. O czemże mówiłem?

— O wartości dusz, podszeptał Zrębski.

— A! tak jest... Nie będę tał przed panem, że majątek ten nieco jest zaniedbany i *in crudo*, to zniża jego cenę.

— Panie hrabio! zakrzyknął Goral.

— Proszę mi dać pokój, żywo ciągnąc dalej, mówił Bracibor. Targować się nie umiem i to nie jest rzecz, o którąby się można spierać. Nie oddam inaczej jak po tysiąc złotych za dusze.

— Wieleż tam jest dusz? spytał od niechcenia.

— Ale panie hrabio! z wymówką i żalem przerwał pan Joachim.

— Pytam pana. wiele tam jest dusz? rzekł stanowczo Sulimowski.

— Pięćset sześćdziesiąt i dwie! cicho wybąknął plenipotent.

— No! więc wiecie szacunek.

Goral ruszył ramionami, Zrębski zdawał się mówić Balowi: patrz pan co to za człowiek! *Ecce homo!*

Hrabia jakby znużony upadł na kanapę i zanurzył się w jej poręczu, zadzwonił i kazał podać fajki. Bal nie wiedział co z sobą robić, nie chciał się targować, a coś go kłuło, że możeby można co odciąć od tej ceny, bał się jednak z tem wystąpić.

Jakby to wahanie przeczuł Zrębski, wystąpił pokornie.

— Pan hrabia daruje, rzekł łagodnie, łamiąc się we dwoje i uśmiechając gdyby do cudownego obrazu. Pan hrabia przebaczy moję śmiałość, że uczynię tu jedną maluteczką uwagę.

— Co takiego? z roztargnieniem spytał gospodarz.

— Malutętką uwagę. Dobra te, acz zapewne największych nadziei, są wedle słów hrabiego *in crudo*, budowie, młuy, potrzebują reperacji.

Joachim chrząknął.

— Nie chrząkaj pan, to nic nie pomoże. co prawda to prawda! zawołał heroicznie hrabia, majątek *in crudo*, budowie reperacji potrzebują. Chcesz pan żebym jeszcze zniżył cenę? uśmiechnął się i machając ręką. Wolę to co najprędzej kończyć, bo miue serce boli. Oddaję za pół miliona.

— Ale na miłość Boga, pan się gubisz! zakrzyknął w głos Joachim, ja tego nie dopuszczę!

— Otóż masz pan pociechę, żeś mnie na sprzedaż namówił, zawołał Bracibor. Stracę z satysfakcją, żeby pannu zgryzoty napędzić.

— Chwytam za słowo, rzekł Bal podając rękę na znak Zrębskiego.

— Ale to być nie może! zagrzmiął głos pana Joachima.

— Tak będzie, na złość panu! wyciągając rękę zimno odparł gospodarz, rzecz skończona! nie mówmy o tem więcej.

Nie wiedzieć dla czego dreszcz zimny przeszedł po skroniach pana Bala, który zaraz potem uczuł się rozkosznie, rajsco wzruszonym i już mu pilno było biedz do domu z nowiną.

Znowu chwila milczenia.

— Ha! rzekł plenipotent z ponurą niecierpliwością, stało się! sądzono! Aleś pan szczęśliwy!

Pan Bal podniósł się na palcach, określił i zaśmiał szeroko.

— Istotnie, możesz pan to sobie powiedzieć, smutnie jakoś dołożył hrabia. Stało się! to pewna, że dóbr tych nigdy się sprzedać nie spodziewał za taką mizeryją, aleś mnie pan do niecierpliwości przyprowadził. Złote jabłko! złote jabłko panie dobrodzieju! Straciłem je i nie ma co mówić o tem... Są jednak niektóre dodatki, o których kiedy już raz weszliśmy w tę materję, musimy wspomnieć, choć to dzieciństwa! Naturalnie pan wszystkie koszty bierzesz na siebie?

— Ale oczewiście! rzekł pan Joachim.

— Naturalnie! ciszej powtórzył Bal.

— Hm! jeszcze mi przychołzi na myśl jedna drobnostka. Zgadalo się coś przed wyjazdem z żoną moją o sprzedażach, o kupnach... nie wiem z czego... Zachciało się jej pięknej kolji brylantowej, bo szmaragdy i perły które ma, znudziły ją! Kobiety tak są kapryśne! Otóż... a dałem jej słowo, na wiatr, że przy pierwszej sprzedaży (anim się spodziewał żeby to tak prędko do skutku dojść miało) niestety! i na Zakalną! Dałem jej słowo, że dla niej pięćset czerwonych złotych wymówię porękawicznego, ale to...

— Panie hrabio... ofuknął się niby obawiając następstwa Joachim.

Zrebski dał naglący znak przyjęcia panu Balowi.

— Spełniam to z największą chęcią! rzekł kupiec.

— Przepraszam pana że o tej drobnostce mówię, ale w istocie nie wiem jak mi przyszła na myśl. Tyle

mnie kosztuje każdy interes, tak nie cierpię tych targów.

— Ja się nie myślę targować, rzecz skończona, podchwycił Bal.

— Ha! skończona! Ale jeszcze słowo...

— Co pan hrabia rozkażesz?

— Muszę pana objaśnić o stanie fortuny. chcę być do ostatka jak można najsumienniejszym. Na Zakalu mam dług bankowy, przypadkiem, istnym przypadkiem! ale to wiele by o tem mówić, plenipotent mnie w to wpędził nie zrozumiawszy... Dług ten wynosi trzydzieści... wiele panie Joachimie?

— Trzydzieści cztery tysiące, siedmset dwadzieścia rubli srebrnych.

— Jest tam także jakiś fundusz duchowny?

— Trzy tysiące rubli.

— A! jeszcze coś! Mamy tam dyferencją z Radziwiłłami w lesie.

— Co to jest dyferencja? spytał pan Bal.

— Wątpliwość o granice, podszeptał Joachim.

— To dzieciństwo! nie wiem dobrze, kilka morgów podobno, mała rzecz! ale chcę wszystko od razu powiedzieć, ceniąc ufność pańską... Dawno mi się prosili żeby o to skończyć... nie wiele dbałem, fraszka! Chcę tylko uspokoić sumienie wypowiadając wszystko.

— Co to za człowiek! co to za człowiek! w duchu powtarzał Bal, otóż to z takimi ludźmi mieć interes, z wielkimi panami, to aż miło!

— Prawdziwie, odezwał się z suchym uśmiechem Goral zażywając tabaki, jak żyję mi się nie zdarzyło być świadkiem interesu, w którymby aktor brał stronę swego przeciwnika i sam mu pomagał.



— Toś pan dobrodziej nigdy widać nie miał do czynienia z ludźmi wielkiego, delikatnego sumienia! odparł hrabia. W tym względzie znają mnie już ludzie, prawda nadewszystko. a interes lubię robić szybko i stanowczo. Teraz panowie rozmówcie się o reszcie, dał rozsiadając się na kanapie.

Reszta nie wiele czasu zająć mogła. gdyż główne warunki były umówione, pan Bał tylko prosił o dwa dni czasu dla zebrania pieniędzy, które ściągnąć potrzebował; a było tego z różnemi kosztami około trzechkroć sto tysięcy. Resztę przejmował w długach ciężających na majątku. Wszyscy winszowali szczęśliwemu nabywcy, który zmuszony był naturalnie zaprosić całe towarzystwo na objad do siebie. Hrabia chciał posyłać po wino szampańskie, zawołał był nawet służącego, ale tak się do tego przybierał głośno. że przytomni mieli czas odmówić i uprosić aby dał pokój.

Zasiedli tylko na rozmowę, gdyż tysiączne drobnostki dotyczące się majątku przypominał sobie hrabia, co raz to coś ekscypując z niego, to ludzi, to ruchomości, to drzewo, to dochód karczemny do pewnego terminu. Pan Bał na wszystko dobrowolnie zezwalał, będąc pewien, że kupił tak korzystnie. tak doskonale, iż te małe ofiary nie dla niego znaczyć nie będą.

Hrabia przyszedł jakoś do siebie i choć wzdychał zawsze po Zakalu, zaczynał nabierać coraz lepszego humoru, mówił wiele, wspominał swe kolligacje. sypał kuzynami bez końca, dowcipował, a za każdym słowem oglądał się do koła żębrząc uśmiechów i oklasków. na które był pewien że zasłużył.

Wieczór dobrze był już przyciemnił salę, gdy pan Bał odurzony, szczęśliwy ale niespokojny razem, wziął

za kapelusz by hrabiego pożegnać i usunął się wraz ze Zrębskim.

Hrabia przeprowadził go do pierwszych drzwi i pośpieszył do Goralą, który z nim pozostał.

Zaledwie byli na ulicy, gdy Zrębski parsknął śmiechem:

— No! ślicznież się panu udało, Bogu dzięki! Jeszczem panu u tego starego dudka sześćdziesiąt kilka tysiecy odtargował, czy pan uważał jak?

— Uważałem Zrębsiu, serce mi bilo! Ale to bardzo uczciwy człowiek! Tylko jeśli tak wszystkie interesy robi, nie daleko zajędzie! Wiesz co, coś to tak szło po maśle, że aż mi strach! Z początku wziął się nie sprzedawac, ustraszyłem się mocno... potem znów rzucał pieniędzmi jak plewą.

Nie rozumiem! Ha! stało się. Teraz mi pozostaje... o! diabła przeprawa! dodał kupiec, oznajmić żonie i panu Stanisławowi! Widzę jakie będą na mnie fochy...

— Panie dobrodzieju! Wszak to pan głową domu!

— Spodziewam się! zawołał Bał... i com zrobił tom zrobił, ale zawsze... byleś waćpan żonaty kiedy Zrębsiu?

— Chwała Bogu, nie! odparł adwokat z uśmiechem chytrym.

— No! to Waćpan nie wiesz co to za mocna rzecz ta słabość kobieca! Zdaje się nie! tylko płacze, tylko stęka, tylko chodzi i wdycha, a jak cię zacznie tem częstować, tobyś pod ziemię wlaźł żeby dała pokój! Nie ma na świecie jak moja Ludwisia i nie do niej to mówię, przerwał kupiec, jednakże...

Tu zamilkł, zamyslił się, Zrębski go pożegnał, a on nie bez wahania wszedł do kamienicy.

---

## ROZDZIAŁ X.

---

### Smak Złotego Jabłka.

Nikogo nie spotkawszy w bramie, na wschodach i w sieni, dostał się pan Bal do swojego pokoju na górę, a w miarę jak się poczynął znowu rozmyślać, charakter jemu właściwy, humor w którym zwykł był pływać, rozbijały chmury chwilowej niespokojności. Opowiadał sobie o swoich wioskach, o młynach, o splawnej rzece, o książęcym majątku, rozpalał się obrazem i już go piec zaczynało żeby co najprędzej nową wielkość zdumionym oczom żony pokazać. Odzyskał zaufanie w sobie i żywość chwilowo straconą, ubrał się co najrychlej i popędził na górę do saloniku.

Tu zastał czekającą go z herbatą Ludwikę, Lizię, Stanisława i Strumisza... Tajemnicy utrzymać dłużej ani przygotować do jej przyjęcia nie mógł i nie umiał, serce mu biło gwałtownie, był u celu życzeń tajemnych, chciał się swem szczęściem podzielić.

— A! gdzieżeś był? wstając i podchodząc ku niemu zawołała pani Balowa.

— Gdzie? szczęśliwa kobieto! ani ci się śniło! ani ci się marzyło. — Witam dziedziczkę Zakalą! kupiłem dobra! dobra książęce! dobra za bezcen... cztery wioski... klucz.. jedziemy na wieś! Familja starożytna Balów powraca do pluga i roli!

Słowa te wymówione były z takim zapalem, a przytem tak szybko, tak nieporządnie i z tak gwałtownymi ruchami, że w pierwszej chwili cofnęła się Ludwika, załamała ręce, bo jej przez myśl przebiegło, że mąż mógł dostać pomieszczenia. Stanisław zbladł jak chusta.

— No! cóż! stoicie jak mruki! nikt mi nie winszuje? zrobielem interes ogromny! złote jablko! złote jablko! dobra za pół ceny! milionowe! Com marzył, tom dokonał, wyprzedaję się i wynoszę na wieś?

— Ale na Boga! drżącym głosem odezwala się żona, godziłoż się tak bez poradzenia się kogo z nas, losem wszystkich rozporządzać? tak niespodzianie, tak gwałtownie!

— O! ba! bylibyście mi odradzali. przeszkadzali, niedowierzali, a tak zapadła kłamka i rzecz skończona... powiadam wam, jedziemy na wieś.

Po twarzach przytomnych widać było jak ta wieść wielkie, silne i niemile zrobiła wrażenie, Stanisław spuścił oczy i dumal ponuro, nie śmiejąc się słowa odezwać, Strumisz był oślepiały. Lizia uśmiechając się z przymusem zbliżyła do ojca, Balowa stała ze zalanymi rękoma i poglądała na męża.

To milczenie, podziw, nieufność jakoś coraz silniej drażniły pana Erazma, który jakby wszystko chciał razem wypowiedzieć, począł trzepać.

— Majątek przepyszny... złote jablko! *in crudo*... ziemia glinowata ale nigdy nie zawodzi, wydatki ogro-

mine, młyny, rzeka spławna, lasy, łąki nieprzebrane, dyferencja z Radziwillami. co jest nie małym zaszczytem... fundusze dachowne, dług bankowy, stary dwór, pięćset samych mężczyzn. nie licząc płci żeńskiej, szlachta czynszowa. smoła i huta...

— Od kogo? od kogo? spytała żona niespokojnie, czy nie z pomocą Zrebskiego?

— Właśnie wszystko to winienem temu nieoszacowanemu pocziwemu Zrebskiemu, który ma prawdziwe przywiązanie do mnie. Jest to człowiek nieoceniony.

— A! zgineliśmy, odezwala się żona; on nas zgubi.

Pan Bał z kolei osłupiał.

— Zrebski! mój przyjaciel, mój najlepszy druh... co Waćpani jest...

— Poznasz go, ale po czasie... Od kogoż to kupno? gdzież ten majątek? jaka jego cena?

— A! czekajże. co za gorączka! rzekł Bał siadając i trochę zafrasowany. zaraz ci rozpowiem wszystko... Najprzód kupno to od najzacniejszego z ludzi, jeszcze mu podobnego nie widział, od hrabiego Bracibora Sulimowskiego.

Stanisław mimowolnie zakrzyknął, wszyscy obrócili oczy na niego.

— Co to? niespokojnie spytał Bał, znasz go?

— Nie. słyszałem tylko o nim, rzekł Stanisław.

— A cóżes słyszał, że dudek chyba i interesów robić nie umie... ale człek z najwyższą szlachetnością.

Stanisław usiadł nie mówiąc słowa, bo nie widział potrzeby sprzeczać się z ojcem, nie bardzo będąc pewien swoich wiadomości, które obiecywał sobie sprawdzić.

— Mówże coś słyszał! naglił ojciec.

— Powiadano mi o nim nie najlepiej, ale to są wiadomości uboczne.

— No! a ja go widziałem, rozmawiałem z nim, traktowałem i mogę wam powiedzieć, że mało takich ludzi na świecie, sumienność do przesady... delikatność niesłychana.

— Był zmuszony sprzedać część dóbr, Zrębski z Góralek mi dopomogli; jestem panem Zakala!

— Gdzież te nieszczęsne Zakale?

— Na Wołyniu! nad Horyniem! z zapalem począł pan Bał. w krainie mlekiem płynącej i miodem... słynnej pszenicą i pieniędzmi, w najszcześniejszym położeniu... Cztery wioski... dwór stary niegdyś książąt Szujskich.

— Cóż cię to będzie kosztowało? z bojaźnią spytała żona, jakby już zrezygnowana.

— Pół miliona! pół miliona, ale dobra warte dwa razy tyle.

Pani Bałowa schwyciła się za głowę. O! mój Boże! zawołała...

— A Waćpani tylko byle stękać... myślałem że mi się uwiesisz na szyi, że mi będziesz dziękowała, a tu jeszcze strachy, wykrzykuiki, żale, jeśli nie wymówki spotykam, przyszedłszy ze złotem jabłkiem. Teraz proszę mnie słuchać, dodał kupiec stanowczo, to nie dość. Postanowiłem oddawna i zapowiedziałem, że chcę się wynieść na wieś i handel ten niezuosny porzucić, sprzedaję domy, realizuję co mam i idę z wami napawać się wiejskim powietrzem.

— Przepraszam cię, równie stanowczo odpowiedziała pani Bałowa, miałeś prawo dogodzić swojej fantazji. ale nie masz prawa zagrażać losowi swych dzieci dla jakiejś chimery.

— Ona to nazywa chimera! burknął Bał.

— Posłuchaj mnie cierpliwie, chwytając go za rękę dodała żona. Zrośliśmy i przywykli do miasta, praca nasza chleb nam dała i zapewniła przyszłość dzieci... Godziź się, nie znając tego życia które ci się tak śmieje, wszystko w nie wkładać? A nuż twoje złote jabłko będzie jabłkiem raju?.. Nie, kochany Erazmie, kupuj sobie dobra jeśli ci się podoba, rzucaj ten pocziwy stan w którym żyli i wychowali nas rodzice, ale nie odrzucaj od siebie ostatniej deski ratunku. Tam nas czekają straty, tu niech zostanie choć przytułek po burzy...

Bał wysłuchał, choć z oznakami nadzwyczajnej niecierpliwości, podskakując na kanapie, całej mowy żony, ale trząsł głową i rzucał się.

— Co za dziwne przeczucia! co za przywidzenia! przerwał nareszcie, co za zakochanie w tem brudnem mieście! Dla czego mamy tracić? czemu nie potrafiłmy gospodarzyć. Cóż to, święci garki lepią? Dobry ekonom i rozzumny trochę, ot i po wszystkim. Stanisław będzie, ręczę, dobrym gospodarzem.

— Będę czem ojciec rozkażesz, odparł smutnie Stanisław, ale dobrym wątpię... na to potrzeba specjalnej nauki i ochoty, a ja jej nie mam.

— Wszystko się znajdzie, przerwał Bał, co to darmo gadać! Wyprzedamy się i kwita z miasta, ze sklepów, z handlu, ze wszystkiego, wracamy na niwę przodków... odetchnąć powietrzem sił i lasów... Co to za życie rozkoszne, jaka cisza, swoboda i pokój! jaki dostatek! O! ciężko mi czekać do tej chwili, tak jej pragnę.

Matka i syn spojrzeli po sobie, jakby mówili: To

darino, my go nie przekouamy! a żona odezwała się łagodnie:

— Kupileś, zrobileś coś chciał, nie ci nie powiem, choć doprawdy, jako żona, mam prawo wyrzucąć rozbioną przedemną tajemnicę... za to musisz mi się wyplacić czemś.

— Moja duszo! musimy wyjechać na wieś.

— Pojedziemy na wieś — z westchnieniem rzekła Ludwika.

— No! otóż ślicznie, moje serce, zgadzasz się na wszystko?

— Nie na wszystko... mój Erazmie... wyprzedawać się nie chcę...

— Musimy!

— Nie wyprzedamy się.

— Pani mi chcesz narzucać swoją wolę?

— Nazwij to jak chcesz... ale mi musisz dać słowo, że do lat trzech nie pomyślisz o sprzedaży handlu i domów. Jeśli po latach tych będzie nam tam dobrze, no! uczynisz wówczas co się spodoba.

Pan Bał, który myślał w ten sposób żonę złapać i pokój sobie kupić, zamilkł ale się uśmiechnął.

— No! no! cicho! sza! zgoda! Daję słowo! na kupno Zakala nie potrzebuję tyle pieniędzy, żebym się wyprzedawał... chciałem tylko do klucza tego dokupić dóbr więcej, ale o tem rozpatrzywszy się lepiej i za lat trzy czas będzie...

Stanisław powstał weselszy, pani Bałowa uścisnęła rękę męża.

— Dziękuję ci, odezwała się, uspokoiłeś mnie, jestem ci wdzięczna.

Teraz już pan Erazm okupiwszy swój dobry humor



danem słowem, mógł mu puścić cugle i nie śmiemy powtarzać, ile wymownych o życiu wiejskiem zaimprovizował panegiryków. Niestety! zacny mieszkaniec miasta znał wieś tylko z wesółych okolic Warszawy, znał ją z Kochanowskiego, z poetów, z tradycji zamierzchłych i ze szlachty, która do miasta przyjeżdżając, wysoko ceniła zalety rodzinnych kątów.

Znał wioskę, jaką wszyscy w mieście osiedli wyobrażają sobie, bez ciężkiej pracy, bez zawodów, bez nudów jej i przykrości. Wyczytał ją w poetach i powieściopisarzach, którzy z granitu dobywszy drobinę diamentu, pokazują oczom zdumionym. Dla pana Bala wszyscy wieśniacy byli pocziwym ludem bez wyjątku, na wszystkich łąkach złościły się mu zboża, lasy szeptały rzewnem dumaniem. wiatry powiewały zapachami.

O! unosił się też, unosił w górę i latał pod same obłoki, a próżności trochę wystawiało mu, jaką rolę grać będzie na księżących dobrach potomek Massage-tów. Rodzina pana Erazma słuchała tych apologij, tych rojeń przyszłości ze smutnem nieledwie politowaniem, jedna Lizy, główka łatwo zapalna, dzieliła prawie myśli ojca i cieszyła się po cichu. Ale filut dziewczyna nie bardzo się popisywała z weselem widząc matkę smutną, a trochę i jej żal było Warszawy.

Kupiec jał potem opowiadać całą historją swego nabycia, przyjęcia hrabiego, jego naiwność i śmiał się do rozpuku z utargowanych sześćdziesięciu dwóch tysięcy, które zapłacić już był gotów.

— Wszystko to co mi mówisz, przerwała żona nie wahając się zawczasu przygotować go do utraty złudzeń, przekonywa mnie, że w tej robocie, w którą

wpływał potajemnie Zrebski, a którą tak osobliwie ukieńczyłeś, musi być coś fałszywego... Twój hrabia jest nieochybnie wielkim frantem...

To przypuszczenie niezmiernie zdziwiło i oburzyło razem pana Bala, uważał je za skutek złego humoru żony i nakoniec śmiać się począł do lez prawie.

— Ach! ach! zawołał, on frant! on frant! co też ci się śni, toć to uosobiona pocziwość! Zresztą zobaczysz go i osądzisz, bom ich na czwartek na obiad zaprosił.

— Wieleż ci to zabierze pieniędzy? spytała żona.

— Około trzechkroć sto tysięcy gotówką, ale majątek kupilem za pół miljona!

— I kupiłeś go tak, nie widząc, nie znając, na pochwały sprzedającego, na dobrą wiarę nieznanego! to niepojeta.

— A! a! ślicznieby też było żebym zwlekał i nie nfał, byłby mnie ktoś podkupił. Musiałem dobrze napracować się, żeby kompetitorów usunąć, nawet smarowałem łape.

— Daj Boże, żebym się omyliła, ze smutnem przecznicem odezwala się jeszcze żona, ale mi się wszystko zdaje, że cię ci ludzie podeszli niegodnie.

— Za jakież już dziecko masz mnie Waćpani! ofuknął się mąż, myślisz że tak łatwo mnie złapać? Wstydz się! wstydz! to się nawet nie godzi tak ludzi posadzać.

— Zobaczymy! zobaczymy!

Wszyscy byli smutni, nawet kupiec owładnięty wkrótce wpływem otaczających, uczuł potrzebę njąć, żeby sam na sam zostać ze swem jasnym marzeniem. Poszedł rachować, cieszyć się i dumać o rokoszach dziedzictwa.

Reszta jego rodziny pozostała w saloniku przykuta do krzeseł, bo wszystkich zarówno, nie wyjmując Lizi, której wieś dosyć się podobała, perspektywa opuszczenia Warszawy smutkiem osłaniała oczy. Stary to, pospolity, a jednak bardzo prawdziwy aksjomat, (piszę *jednak*, bo mnóstwo jest prawd pospolitych zupełnie fałszywych), że nigdy się tyle nie ceni tego, co się posiada, jak gdy je mamy utracić. Pani Bałowa urodziła się, wychowała, dożyła wieku poważniejszego pod cieniem tych murów, które całem kochała sercem i nie wiedziała jak się z nimi rozstać potrafi. Życie jej przylgnęło do wszystkich obrotów żywota miejskiego i obracało się z nimi powolnie, regularnie i bezpiecznie; obawiała się tej wsi, której mąż jej tak pragnął, jak nieznanego czegoś i strasznego.

Stanisław rzucił w mieście tę, do której codzień się przywiązywał więcej i niczego mu więcej żał nie było. Mierzył się właśnie z tą myślą straszliwą oddalenia od niej i nie wiedział jak potrafi przetrwać rozłąkę. Nie była to namiętna boleść, było to jakieś nie nazwane uczucie, którego musi doświadczać ryba na łąd rzucona, zwierzę tonące w wodzie. Nie wiedział jak w nowym dla siebie żywiole, w pustyni, która go czekała, żyć potrafi. Jego przywiązanie, na pozór chłodne, zimne, nigdy nie znamionujące się gwałtowniejszym objawem, właśnie tem było straszniejsze, że nic z siebie nie udzieliło światu. Palil się jasny ten płomień cały w lampie, której łono rozżarzał. Po odejściu ojca, matka poczęła przechadzać się po pokoju, on usiadł w kątku złamany, zatopiony w myślach i łaza jedna wytrysła mu na oczach....

Oko matki tylko dostrzedz jej mogło.

— Co ci jest Stanisławie? spytała niespokojnie, miałabyś jak ja żalować gorąco, może do zbytku gorąco, wszystkiego a wszystkiego, aż do kamieni bruku, aż do pyłów ulicy, aż do wrzawy co budzi i usypia...

Stanisław nie chciał skłamać, nie płakał ani za miastem, ani za ludźmi, płakał za jedną tylko istotą, co mu do życia jak powietrze była potrzebną.

— Co ci jest mój kochany Stanisławie?

— Żal mi... tak, rzekł powoli, żal mi Warszawy, żal mi ciebie i nas... Bóg wie co nas tam czeka: świat obcy, ludzie nowi, my ich nie rozumiemy, oni się nas obawiać będą. Co za nowicjat przebyć będziemy musieli! ile doświadczeniem nieznaną rzeczy nabywać... a ile stracimy tutaj!

Lizia uśmiechnęła się trochę zniecierpliwiona i smutkiem matki i łzą brata, na którą aż ramionami ruszyła.

— Mój Stasiu, odczuwała się, i ja pewnie żalować będę Warszawy, ale czegoż się znowu tak lękać... Więcej ludzi żyje na wsi niż po miastach... godzim się na to, że stau nasz jest czemś nie normalnem, że to zbiegowisko ludzi ma swoje korzyści, ale...

— A ty nic nie pożałujesz? nic? spytał Stanisław.

Lizia odkryła w zapytaniu więcej niżeli w niem może było i zarnmieniła się trochę.

— Ja? ja żałuję wszystkiego, wszystkich! ale razem cieszę się nowością, tak mało w życiu nowego.

— Mój Boże! jak to znać, żeś czytała u pani Blanchard kontrabandą wnoszone francuzkie romanse, kochana Liziu!

— Stasiu, ty mnie prześladujesz!

— Nie, mów dalej, może mnie przekonasz...

— Przynajmniej się nie złękne, odpowiedziała Lizia,

więc śmiało powtórzę, że życie ma mało w sobie nowego! mnie się czasem zachciewa, żeby słońce weszło od zachodu, a ty nie zrozumiesz dla czego się ciesze że na wieś wyjeżdżamy?

Staś się rozśmiał, matka pocałowała ją w głowę.

— Kochane dziecko! tyś dziecko jeszcze! powiedziała cicho, Staś już jest człowiekiem, tobie się śmieje wszystko, nawet niebezpieczeństwo...

Lizia spojrzała w oczy matce, nie wiedzieć z kąd i dla czego przysła jej lezka brylantowa z pod powieki; zakręciła się i uciekla. Stanisław pozostał.

— No! teraz powiedz mi Stanisławie, cicho spytała pani Balowa, co twoja lza znaczyła... ale całą prawdę...

Syn się zmieszał.

— Nie od dziś czytam w tobie tajemnicę: twój smutek niewłaściwy wiekowi, zamyślenie, dziś ta lza... to wszystko coś znaczy, maszże lepszego przyjaciela na demnie?

— O! nie! nie kochana matko, ale są rzeczy, których się i najlepszemu przyjacielowi nie mówi.

— Jakto! miałabyś tajemnicę, którejbyś się mógł zawstydzić?

— O! nie! nie! żywo zaprzeczył młody człowiek; nie rozumiałaś mnie matko... są rzeczy, których się nie mówi... bo... się nie godzi może obnażać ich przed wszystkimi.

— Stasiu! dawnom się tego domyślała! wymawiałeś Lizi czytanie francuskich romansów, a sam nie czytałeś nadto niemieckich?

I z łagodnym uśmiechem spytała:

— No! przyznaj mi się, ty się kochasz?

— A gdyby tak było?

— Uczucie niewinne, jeśli poczciwe i czyste, ale któż ci je natchnął?

— Bądź pewna, że go wart!

— Zmilujże się, powiedz mi kto? widuję wszystkich kogo znasz, nigdy cię z nikim widząc nie posadziła o miłość.

Uśmiechnął się Staś smutnie.

— Prawda, moja miłość nie podobna do innych, jest to pożar w kawalku lodu...

— Stasin, któż taki?

— Niech mama zgadnie...

— A! trudnoby mi było... oszczędź mi domysłów, odważ się i wymów...

Cicho, ze smutnemi oczyma Stanisław wymówił imię Konstancji.

— Żartujesz chyba, widziałam cię z nią kilkanaście razy u Krombachów... kiedyś się zakochał? chyba wczoraj?

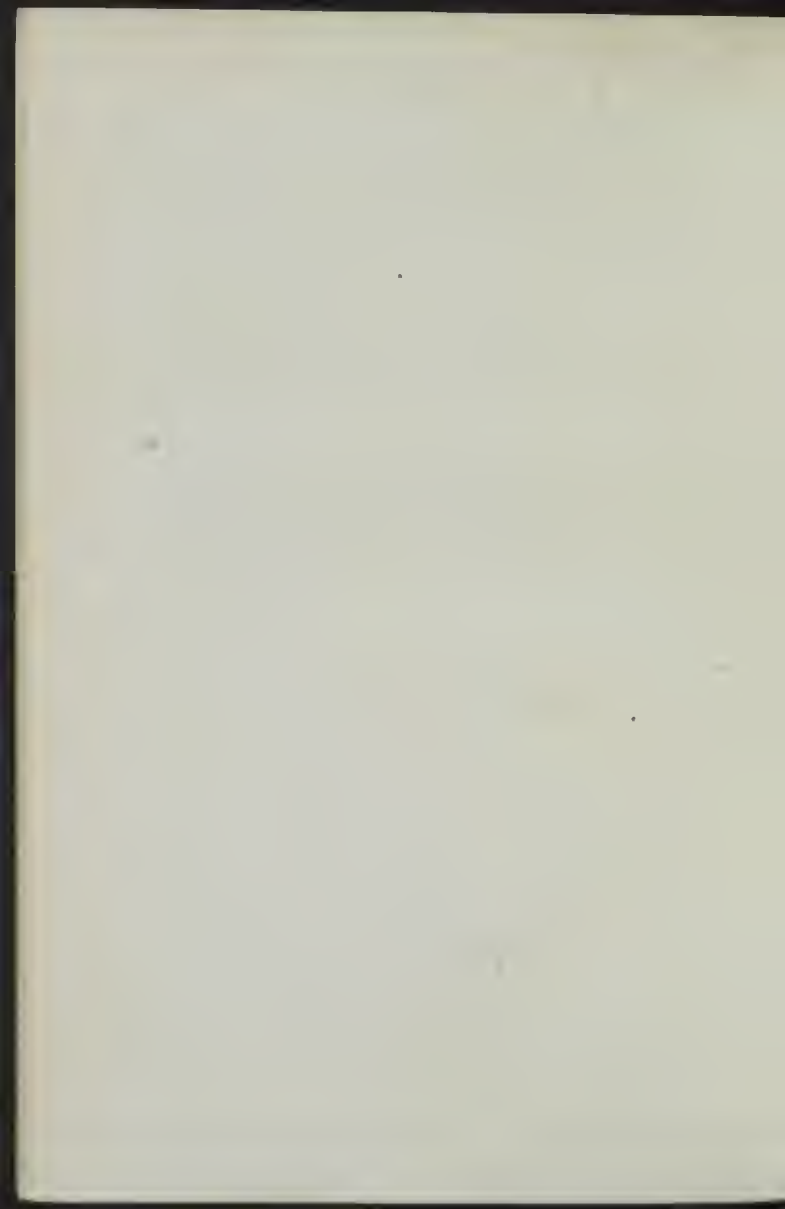
— O! o! starsza moja miłość mamó, niżeli myślisz; widziałem ją z okna mego, pielęgnującą do śmierci biednego dziada, widziałem idącą za jego pogrzebem, modlącą się w kościele... i kocham ją od czasu jak po raz pierwszy tam na poddaszu podniosła się firanka, ukazując mi ją obok schorzałego drżącego starca, jak obraz miłości dziecinnej... Ale mógłbym nawet wspomnieć o tem? ona uboga, znasz ojca marzenia i nadzieje, zresztą anim rachował co dalej będzie i czy muie zechce... To pewna, że dziś myśląc o rozstaniu, drzę i czuję iż mnie nad siły kosztować będzie....

Z litością, współczuciem, obawą spojrzała matka na syna, uciskając dłonią błogosławiącą gorące jego czoło.

— Stasiu mój, rzekła... młodzi ludzie kochają łatwo, namiętnie, a krótko; mogą chorować z rozpaczy i przechorowawszy zakochać się w innej... to się codzień widuje. Wątpię, żeby twoja miłość była tego rodzaju i obawiam się owszem, żebyś się jej nadto nie oddał. Cierp teraz, inaczej być nie może... ja ci nic poradzić nie umiem. modlić się tylko mogę. a od jutra okiem i sercem innym spojrzę na Konstancję... O! boję się bardzo! bardzo boję! Żona to cała przyszłość człowieka.

— A na czwartek! zawołał wpadając do pokoju w szlafroku pan Bal, przestraszający tym napadem niespodzianym... trzeba dostać jesiotra i ananasów!! Lody i cukierki od Lessla!!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO









509—

Biblioteka Raczyńskich

**JK 1474**



**JK1474**